

KUŹNICA

Rok III

Łódź, 16 kwietnia 1947 r.

Nr 15 (84)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Tradycja jest puklerzem warstw, w których interesie spoczywa utrzymanie porządku rzeczy; myśl krytyczna staje się przyłbicą tych, których dobrobyt jest zależny od dalszego rozwoju sił twórczych.

Ludwik Krzywicki

TREŚĆ NUMERU:

GENERAL KAROL ŚWIERCZEWSKI

STANISŁAW SZENIC —

PRZEMYSŁ NIEMIECKI
PRZED TRYBUNAŁEM NO-
RYMBERSKIM

JAN KOTT —

KRONIKA WIEKU DZIEWIĘT-
NASTEGO

MIECZYŚLAW JASTRUN —

PANU TYGODNIKOWI WAR-
SZAWSKIEMU W ODPOWIEDZŁALEKSANDER SZPAKOWICZ —
LUMPENBURŻUAZJA (II)

PAWEŁ HETRZ —

SEDAN (III)

JERZY MILLER —

BASEN

JERZY PANSKI —

KŁOPOTY RADIOWEGO
PROGRAMU

SEWERYN POLLAK —

DOKUMENT DNI GROZY

KAZIMIERZ BUDZYK —

SZKODLIWA KSIĄZKA

PRZEGLĄD PRASY

KORESPONDENCJA

NOTY

Gen. Karol Świerczewski

Urodził się w Warszawie w roku 1896. Był jednym z tych, których ojcem jest robotnik, a matką rewolucja. Syn gisera z fabryki Gerlacha, miał 9 lat, gdy proletariats warszawski wyszedł na ulicę. Pierwsza wojna światowa odrzuca go na Wschód. Jest wtedy tokarzem metalowcem. Przychodzi czas, gdy młodzi robotnicy zamieniają warsztat na karabin, aby walczyć o wolność. Wraz z nimi staje do walki syn warszawskiego gisera z ulicy Kaczej. Czerwony rok 1905 wybuchu wielkim płomieniem w roku 17-tym, rozszerza się w pożar wojny z interwencją; o wolność walczy się wszędzie, gdzie zagroza ucisk. Był to czas, gdy serce świata biło pod bluzą robotnika.

W ciągu stu lat rodziły się w Polsce pokolenia, walczące o wolność zdala od ziemi ojczyściej. Przez granice, kordony i obce więzienia prowadziła droga z polskich miast na barykady Paryża, Wiednia i Berlina. Wędrowcy wiosny ludów, pielgrzymi międzynarodowej rewolucji nosili nazwiska o dziwnie brzmiącej końcówce: Mierosławski, Dębowski, Wróblewski, Dąbrowski...

Karol Świerczewski jest jednym z nich. Dzieje walki o wolność i równość przechodzą jego nazwisko obok tamtych, tak podobnie brzmiących dla ucha francuskiego komunarda który nazywał ich krótko „Les „Polonais“.

Rok 1936 łączy go ze sprawą wolności ludu hiszpańskiego. W roku 1937 jest dowódcą brygady francuskich ochotników, walczących z faszystem. Kieruje obroną Jaramy, odiera wielokrotnie szturm artylerii niemieckiej i kolumn Falangi. Sztab



armii republikańskiej powierza mu dowództwo 35-ej Dywizji Międzynarodowej. Staje na czele brygad złożonych z Polaków, Francuzów, Jugosłowian, Anglików i Rosjan. Nosi pseudonim wymieniany raz po raz przez pisma całego świata: general Walter. Ale robotnicy hiszpańscy witali go okrzykiem: „Viva el general polaco“. Otrzymuje dowództwo korpusu, później grupy armii „Ebro Środkowe“. Staje się postacią symboliczną dla obrony demokracji hiszpańskiej; w nim się uosabia jej bo-

haterstwo i nieugiętość, w nim znajduje swój wyraz wspólnota ludów walczących z faszystem. Ernest Hemingway, pisarz — uczestnik wojny hiszpańskiej, uczynił go postacią jednej ze swych powieści.

Druga wojna światowa potwierdziła prawdę, o którą walczył. Obrona demokracji stała się obroną świata. Na ziemiach polskich wyzwolonych od niemieckiego faszystu, organizuje marsz polskiej armii ku nowym granicom nad Nysą Łużycką. Jego oddziały pierwsze sforsowały rzekę. Podchodzą pod Drezno. Wódz z Jaramy i Madrytu dosięgnął starego wroga potężnym uderzeniem od strony Wisły i Narwi.

Zostaje wymieniony w rozkazie Stalina, wraz z II-gą Armią, którą dowodzi. W dniu Zwycięstwa jest generałem broni; po ukończeniu działań wojennych organizuje osadnictwo wojskowe na Ziemiach Odzyskanych; następnie zostaje dowódcą Okręgu Wojskowego — Poznań; wreszcie od 16 lutego 1946 pracuje nad wyszkoleniem Wojska Polskiego, jako II-gi Wiceminister Obrony Narodowej.

Padł w walce o demokrację ludową. Ugodził go strzał z ręki tego samego wroga, z którym walczył na przedpolach Madrytu: skrytobójczy strzał faszysty. Wędrowka młodego tokarza, długa mozolna droga robotniczego syna z warszawskiej kamienicy, wielki burzliwy szlak do wolnej ojczyzny przez barykady rosyjskich miast, okopy Katalonii i bunkry nad Odrą i Nysą — znalazły swój kres na szosie sanockiej 28 marca 1947 roku.

Lud polski traci w Karolu Świerczewskim jednego z najlepszych swych synów, sprawą wolności — wielkiego bojownika.

STANISŁAW SZENIC

Przemysł niemiecki przed Trybunałem Norymberskim

Osmeo lutego 1947, a więc w 21 miesięcy po zakończeniu wojny, Wojskowy Zarząd Amerykański wniósł wreszcie do Trybunału Norymberskiego akt oskarżenia przeciwko niemieckim przemysłowcom. Pierwszym pociągniętym do międzynarodowej odpowiedzialności spośród przemysłowców niemieckich nie jest Gustav Krupp von Bohlen i Halbach, którego choroba uratowała przed zasiadaniem wspólnie z Goeringiem na ławie zbrodniarzy w Norymberdze, lecz potentat stalowy i były Wehrwirtschaftsfuehrer Fryderyk Steinbrinck, Konrad Kaletsch, Bernard Weiss i Hermann Terberger.

Akt oskarżenia obejmuje pięć zasadniczych punktów. Pierwszy zarzuca oskarżonym współudział w programie Sauckel'a i Speera, w nieludzkim wykorzystaniu sił roboczych z krajów podbitych. Oskarżonych czyni się odpowiedzialnymi za przymusowe zatrudnianie robotników i jeńców wojennych w produkcji wojennej w sposób przeczący wszystkim humanitarnym zasadom, co pociągnęło za sobą nieludzkie cierpienia i tysiące wypadków śmierci. Drugi punkt zarzuca wszystkim oskarżonym, z wyjątkiem Terbergera, grabienie krajów okupowanych. Konfiskata obiektów przemysłowych zarówno we wschodniej jak i zachodniej Europie odbywała się według planów sporządzonych jeszcze przed zaczęciem działań wojennych. Przekraczała ona znacznie miarę rzeczywistych potrzeb armii okupacyjnych i zupełnie nie brała pod uwagę rzeczywistych możliwości produkcyjnych w krajach okupowanych. Trzeci punkt zarzuca oskarżonym, z wyjątkiem Terbergera i Weissa, udział w tzw. polityce „aryzacyjnej“ i ciągnięcie z niej korzyści. W szczególności dotyczy to przejęcia przez oskarżonych kopalń węglowych koncernu

Petschek'a, własności znanej rodziny cze-sko-żydowskiej. Punkt czwarty zarzuca oskarżonym Flickowi i Steinbrinckowi popieranie wydatnymi sumami działalności SS i Himmlera. Obydwaj oskarżeni od roku 1933 aż do zakończenia wojny mieli należeć do „Koła przyjaciół“, które pozostało w ścisłym kontakcie z Himmlerem, z oskarżonym również przed Trybunałem Norymberskim lekarzem SS Wölfraemem Silbersem, z szefem SD Ottonem Ohlendorfem oraz szefem Głównego Urzędu Gospodarczego SS Oswaldem Pohllem. Wreszcie punkt piąty zarzuca oskarżonemu Steinbrinckowi, że jako były dowódca brygady SS, był członkiem organizacji uznanej przez Trybunał Norymberski za zbrodni-czą.

Zapowiedziana na 8 kwietnia br. rozprawa sądowa wykaże ponad wszelkie wątpliwości ścisłe związki niemieckiego ciężkiego przemysłu z hitleryzmem. Podstawą hitleryzmu były niewątpliwie szerokie masy niemieckie, na których niezadowoleniu umiejtnie Hitler rozwijał swój program. Jednakże do władzy doszedł wyłącznie dzięki poparciu niemieckich kół przemysłowych. Rozprawa w Norymberdze powinna ujawnić wiele odnośnych faktów, skwapliwie tuszowanych przez niemieckie koła przemysłowe. Szereg faktów, już obecnie znanych, pozwala na ujęcie zarysu ścisłych związków, łączących Hitlera z niemieckimi baronami przemysłowymi.

Fritz Thyssen wybitny nadreński przemysłowiec zbrojeniowy, następnie usunięty z Niemiec, stwierdza w swej w języku angielskim wydanej książce „Ja opłacałem Hitlera“ (I paid Hitler), że subwencje począł dawać Hitlerowi już w roku 1923, gdy poznał go w Monachium za pośrednictwem Ludendorfa. Ścisłe związanie Hitlera z nie-

mieckimi kołami przemysłowymi nastąpiło znacznie później, bo dopiero na owym historycznym spotkaniu w dniu 4 stycznia 1932 r. w willi bankiera Schroedera w Kolonii. Doszło do skutku przy współudziale Papena i było zbawieniem dla Hitlera. Nastąpiło w okresie, gdy Hitlerowi zaczynał się usuwać grunt pod nogami. Kasa partyjna była pusta, wybory w dniu 5 listopada 1932 roku były poważnym niepowodzeniem, partia hitlerowska utraciła 35 mandatów. Wśród członków SA szerzył się ferment. Gregor Strasser, ówczesny kierownik organizacyjny partii na całą Rzeszę (Reichsorganisationsleiter), który był w niej przedstawicielem kół socjalistycznych, odwrócił się od Hitlera i postawił się do dyspozycji ówczesnego Kanclerza Rzeszy Schleichera. Ciężki przemysł Nadrenii uświadomił sobie wtedy zupełnie trafnie, że mogą przepaść pewne już zyski za rozkręcenie przemysłu zbrojeniowego. Przemysłowcy niemieccy zgodnie poparli Hitlera i po zawarciu z nim przymierza w willi bankiera Schroedera zapelnili puste kasy partyjne. Dojście do władzy było zapewnione i 30 stycznia 1933 r. wydało oczekiwany plan. Zapowiedziany proces przeciwko Flickowi powinien rzucić wiele światła na te machinacje oraz wykaże nici i kontakty, wiążące niemieckie koła przemysłowe z hitleryzmem.

Zrozumiałe, że niemieckie koła przemysłowe, które w okupacyjnych zonach za chodnich Niemiec utrzymały nadal swoje wpływy, uczynią wszystko, aby ich związki polityczne z hitleryzmem w jak najmniejszym stopniu zostały ujawnione przed krakami w Norymberdze. Przed niedawnym czasem odbył się w siedzibie trustu stalowego, w położonym w zonie angielskiej Duesseldorfie, zjazd przedstawicieli cięż-

kiego przemysłu Niemiec. Zjazd odbywał się przy drzwiach zamkniętych, narady były tajne, więc o powziętych uchwałach baronów przemysłowych głucho. Nietrudno jednakże odgadnąć nad czym radzili najwybitniejsi przedstawiciele niemieckiej reakcji. Jak muszą ich niepokoić zwłaszcza zmiany w ustroju gospodarczym po tej stronie Łaby w strefie okupacji radzieckiej, rozbiście koncernów i trustów, upaństwowienie przemysłu.

Wprowadzony obecnie na ławę oskarżonych Fryderyk Flick, do niedawna jeszcze pozostający na wolności, bynajmniej nie może uchodzić za najwybitniejszego przed stawiciela ciężkiego przemysłu niemieckiego. Nie pochodzi z wielkiej wpływowej rodziny przemysłowej. Wpływy przemysłowe zaczął zyskiwać dopiero po pierwszej wojnie światowej, gdy podczas inflacji nabył pakiet akcji Gelsenkirchener Bergwerks-aktiengesellschaft i Bochumer Verein. Przez nabycie akcji szeregu przedsiębiorstw, między innymi Spółki Katowickiej oraz we Wrocławiu, rozszerzył on wpływy swoje na Śląsk. Nabył akcje stalowni i walcowni Hennigsdorf oraz część koncernu Stinnesa. Stał się jednym z głównych założycieli niemieckiego trustu stalowego, łącząc część swoich przedsiębiorstw w Środkowo-Niemieckie Zjednoczenie Stalowe (Mitteldeutscher Stahl-Verein). Gdy na skutek ogólnego kryzysu światowego koncern jego począł się chwiać i akcje Gelsenkirchen na giełdzie osiągały 36 proc. kursu, nabyło je Państwo niemieckie po kursie 90. Złączenie się Flicka z hitleryzmem ugruntowało jego potęgę. Związane z tym operacje zaokrągliły wartość jego koncernu przy końcu wojny do 750 milionów marek, a kontrolowany przez niego kapitał sięgał zapewne dwóch miliardów.

O wiele ważniejszą rolę w przemyśle niemieckim odegrała rodzina Krupp. Jest ona tak ściśle związana z rozwojem przemysłu prusko-niemieckiego, że przedstawienie historii tej rodziny daje jakby skrócony obraz rozwoju całego przemysłu niemieckiego. Źródła wielkości rodziny sięgają początków XIX wieku, gdy pierwszy Krupp zwykł kował rozbudował swoją kuźnię na fabrykę armat. Syn jego, Alfred Krupp, otrzymał przy poparciu Bismarcka monopol dostawy armat do armii pruskiej i stał się w krótkim czasie niekoronowanym królem przemysłu niemieckiego. Firma Krupp umiała zresztą ciągnąć zyski z państwa pruskiego. Dostarczone armii armaty okazały się wkrótce przestarzałe. Zaopatrzenie armii w nowe, zmodernizowane ich typy znacznie powiększyło zakłady firmy Krupp. Bismarckowska polityka ochrony celnej w 1879 roku zapewniła mu nowe zyski płynące z wyrobu płyt pancernych.

Syn Alfreda Kruppa, Fryderyk Alfred Krupp, był jednym z głównych krzewicieli polityki morskiej cesarza Wilhelma II. Firma Krupp popierała wydatnie Niemieckie Stowarzyszenie Marynarki (Deutsche Flottenverein) i przez uprawianą za pomocą Flottenvereinu propagandę otrzymywała z kolei coraz większe zamówienia na budowę pancerników. Wilhelm II pozostawał w bliskiej przyjaźni z rodziną Krupp i był protektorem małżeństwa spadkobierczyni Bertę Krupp z byłym królewsko-pruskim radcą legacyjnym przy Watykanie Gustawem von Bohlen i Halbach, który do swego junkierskiego nazwiska za zezwoleniem cesarskim przybrał nazwisko dawnego kowala Kruppa.

Firma Krupp nie miała zastrzeżeń co do

swych odbiorców. Armaty Kruppa szły do Chin, gdzie podczas powstania bokserkiego ostrzeliwano okręty niemieckie. Krupp dostarczył Turcji zarówno armat jak i szyn na budowę kolei bagdadzkiej. Płyty pancerne używane w brytyjskiej marynarce wojennej i zapalniki granatów były oparte na patentach Krupp. W bitwie pod Skagerrak miały niemieckie i angielskie okręty okazać wykazaną precyzyjność wyrobów firmy Kruppa. Po pierwszej wojnie światowej Gustav Krupp von Bohlen i Halbach domagał się od angielskiej firmy Vickers-Armstrong po jednym szylingowym opłacie licencyjnej za każdy z wystrzelonych przez Anglików w latach 1914-1918 przeciwko Niemcom 123 milionów granatów, zaopatrzonych w opatentowane przez firmę Kruppa zapalniki. Wszczęty próg zakończył się otrzymaniem przez firmę Krupp udziału w stalowniach i walcowniach Miers w Hiszpanii. Gdy przyjaciel rodziny Krupp cesarz Wilhelm II uciekł do Holandii, firma Krupp pozostała wierna swej polityce przyjaźni z rządzącymi kolumnami. Przyjacielem firmy Krupp został gen. Schleicher. Gustav Krupp był też jednym z pierwszych, którzy na początku 1932 r. związali się ściśle z Hitlerem. Firma Friedrich Krupp A. G. zostaje uznana za wzorowe przedsiębiorstwo narodowo-socjalne (Nazionalsozialistischer Musterbetrieb). Swoje dawne monopolistyczne stanowisko musi wprowadzić dzielić z nowo utworzonym koncernem Herman-Goering-Werke. Zyski firmy Krupp rosną w nieskończoność. Rozbójnicza wojna daje nieoczekiwane możliwości grabieży przemysłowej. Firma Krupp zagarnia nowe fabryki, huty i kopalnie zarówno na zachodzie w północnej Francji i Belgii, jak i na wschodzie. Na

Ukrainie przejmuje — wprawdzie na krótki okres — wspólnie z koncernem Herman-Goering-Werke fabryki „Oktjabrskaja Rewolucja”. Gustav Krupp staje się władcą 2800.000 robotników. Przyjaźń jego z Hitlerem znalazła ukoronowanie w jedynym w swoim rodzaju dokumencie. Specjalnym dekretem Fuehrera z grudnia 1943 roku majątek rodziny Krupp von Bohlen i Halbach zostaje uznany za „wieczysty koncern rodzinny w uznaniu nadzwyczajnych i w pewnym względzie jedynych w swoim rodzaju zasług, oddanych przez firmę Krupp w ciągu 132 lat narodowi niemieckiemu w zakresie wzmocnienia siły obronnej”.

Wpływy rodziny Krupp i dzisiaj muszą sięgać daleko i głęboko. Były wprawdzie zakusy żeby Gustav Krupp von Bohlen i Halbach razem ze swym konkurentem przemysłowym Hermanem Goeringiem odpowiadał w procesie głównych oskarżonych w Norymberdze. Temida okazała się jednak dla niego względna i uznała jego chorobę za dostateczny powód do niepociągania go do odpowiedzialności. Syna Alfreda nie uznano zaś za dostatecznie obciążonego do zasiadania z głównymi zbrodniarzami wojennymi, chociaż jeszcze w roku 1944 przejął on od ojca zarząd nad rodzinnym koncernem. Sprawa wszczęcia procesu przeciwko rodzinie Krupp uciecha. Cicho o chorym ojcu i zdrowym synie. A przecież proces przeciwko ojcu i synowi Krupp von Bohlen i Halbach rzuciłby nowe światło na knowania niemieckich przemysłowców.

Głucho również o wschodnich przemysłowcach niemieckich, których obrzydliwym przedsiębiorstwem przemysłowe wyrastały na latyfundiach rolnych ziemi śląskiej.

Cóż dzieje się z Księciem Pszczyńskim, z księciem Henkel-Dommersmack, hrabią Schaffgotsch, Ballestrem, Thiele-Winkler i tylu innymi magnatami śląskimi. Zwarcie popierali hakatystyczną politykę Wilhelma II. Z wojskami Hitlera wkroczyli do województwa śląskiego i zagłębia dąbrowskiego i zagarniali przedsiębiorstwa polskie. Koncern hrabiego Ballestrema kontrolował już przed wojną część górnośląskiej produkcji żelaza i stali. W czasie okupacji hitlerowskiej przejął między innymi Hutę „Pokój” i „Ferrum” S. A. na Górnym Śląsku oraz szereg fabryk w Sosnowcu, Dąbrowie, Sanoku, Lwowie oraz Pierwszą Fabrykę Lokomotyw w Chranowiu. Książę Pszczyński stworzył na nowo własne przedsiębiorstwo akcyjne o kapitale 40 milionów marek i wspólnie z I. G. Farben przejął Elektrownię w Katowicach oraz Kopalnię Książęcą. W podobny sposób postępowali pozostali artystokratyczni przemysłowcy śląscy. Nie kończyło się na samym przejęciu fabryk i kopalń. Na wszystkich przedsiębiorstwach musieli za głodowe zarobki pracować robotnicy polscy, masami wywożeni z osławionego Generalgouvernement. Wszystko zgodnie z od dawna ustalonym planem hitlerowskim. Okrojona Polska miała być rezerwatem tanich sił roboczych. W jednym truscie hrabiego Schaffgotscha pracowało 25.000 polskich robotników. Arystokratyczni przemysłowcy śląscy wyzyskiem nabijali swoje kasy i powiększali rodzinne trusty.

Proces przeciwko Flickierowi nie może pozostać odosobniony. Na ławie oskarżonych przemysłowców nie powinno zabraknąć przemysłowców śląskich.

Stanisław Szeniec

JAN KOTT

Kronika wieku dziewiętnastego

w tekście rysunki Kostrzewskiego — drukowane w „Kurjerze Świątecznym” w 1871 r

— Wracajmy więc do okopów świętej Trójcy!
— To jeszcze nie okopy — to dopiero spótka z Żydami”.

(„Lalka”).



„W tej pisaninie — rozpoczyna Rzecki swój pamiętnik — chcę mówić nie o Bonapartach, ale o sobie, ażeby wiadano, jakim sposobem tworzyli się dobrzy subiekt i choć nie uczeni, ale rozsądni politycy. Do takiego interesu nie trzeba akademii, lecz przykładu — w domu i w sklepie”. To złączenie w jednym zdaniu: dobrych subiektów, rozumnych polityków i dynastii Bonapartych, wydaje się na pozór jakimś historycznym dziwactwem. A jednak to krótkie zdanie przynosi niezmiernie trafną i wcale historycznie prawdziwą charakterystykę plebejskich „czerwonych” ruchów z roku 1846, 48 czy 63. Rewolucja demokratyczna — to była właśnie ich rewolucja: dobrych subiektów, oficjalistów z pańskich propinacji, zradykalizowanej drobnej szlachty, studentów, niższych urzędników i mistrzów cechowych. Ideolodzy tej rewolucji i jej „rozumni politycy” liczyli na wojnę powszechną, która przyniesie wyzwolenie ludów, niepodległość Polski i równość pomiędzy ludźmi, powoływali się na Garibaldię, ufali Mazziniemu, wierzyli w gwiazdę Napoleonów, w dynastię Bonapartych.

Genealogia polskiej rewolucji sięga czasów Insurekcji Kościuszkowskiej i Księstwa Warszawskiego, ciemnych izb na Starym Mieście, w których „najokazalszym sprzętem był stół”, na ścianach wisieli święci i Napoleonowie, a starzy żołnierze napoleońscy jak ojciec Rzeckiego, woźny w Komisji Spraw Wewnętrznych i jego koleś — pan Domański z Komisji Skarbu i pan Raczek, właściciel straganu z zielezią, powtarzali, że „Bonapartów Bóg zesłał, ażeby zrobili porządek na świecie, a dopóty nie będzie porządku, ani sprawiedliwości, dopóki nie wypelni się testament Cesarza”. Dwie są bowiem legendy napoleońskie. Jedna o szarży pod Somo-Sierą i czworobokach gwardii, formujących się pod gradem szrapneli na rozkaz cesarza. I druga, o której mówi Béranger w piosence: „Jedyny król, co w ludu został się pamięci”. Legenda o cesarzu, który chłopom dał ziemię, obalał trony i niósł ludom wolność.

Dzięki tej legendzie Ludwik Bonaparte uzyskał milion głosów chłopskich w wyborach z 20 grudnia 1848 roku. Marks nazywa tę legendę — ideologią młodzieńczej, nierozwiniętej parcellarnej chłopskiej. „Armia — pisze w „18 Brumaire” — była *point d'honneur* drobnych chłopów, przemieniała ich w bohaterów, broniła na zewnątrz nową własność, głosiła chwałę ich dopiero co powstałej narodowości, grabiła i rewolucjonizowała świat. Mundur był ich własnym strojem państwowym, wojna — ich poezją, przedłużoną i zaokrągloną w ich wyobraźni, parcela — ich ojczyzną, a patrioizem — idealną formą umiłowania własności”. Dla ojca Rzeckiego i jego kamratów udział w kampaniach napoleońskich był historyczną nobilitacją na żołnierza wolności, jedynym, wielkim awansem społecznym w ich życiu. Tym samym awansem społecznym, tą samą nobilitacją na żołnierza rewolucji był dla Rzeckiego udział w powstaniu węgierskim. I dlatego dobry subiekt i rozumny polityk „przed snem czytał historię konsulatu i cesarstwa, albo wycinki z gazet, opisujących wojnę włoską z r. 1859...”

We Francji bonapartyzm był mitem drobnej własności chłopskiej, stworzonej przez rewolucję. W Polsce — mitologia rewolucyjnej armii, która niesie wyzwolenie ludom. We Francji był bonapartyzm legendą chłopską, w Polsce — legendą drobno-mieszczaną i drobnoszlachecką. Ale jak we Francji po roku 1848, tak samo w Polsce po roku 1863, bonapartyzm był już tylko widmem przeszłości, która bezpowrotnie odeszła. Książę Ludwik Bonaparte, syn Napoleona III, w którego gwiazdę niezmiennie wierzy Rzecki, z którym wiąże ostatnie nadzieje nowego powstania ludów, ginie niesławnie z ręki Zulusów w kolonialnej wyprawie angielskiej.

Prus bezlitośnie rozwiewa iluzje, nadzieje i złudzenia politycznego romantyzmu, któremu do końca pozostaje wierny stary subiekt. A jednak Rzecki, właśnie Rzecki, a nie Wokulski, jest pozytywnym bohaterem historii. Naprawdę wychowawca mieszczaństwa próbuje bronić społecznej roli kupca, który dorabia się majątku, filantropia, uczonego nawet. Od życia i marzeń silniejsza jest obiektywna prawda o stosunkach społecznych, której wielki realista do końca pozostaje wierny.

Bohaterów stwarzał tylko heroiczny okres mieszczaństwa i żałośnie kończą się wszystkie próby nałamania kupca do roli współczesnego bohatera. Ale ten sam Prus, który tak się tragicznie boryka z losem Wokulskiego, nie wiedząc dokąd go zaprowadzić, widzi jasno przeszłość swojej klasy.

Rzecki był żołnierzem rewolucji. I stary newskie pismo emigracyjne „Równość” w Nr 3 i 4 z roku 1881.

A teraz posłuchajmy samego Prusa. Oto pan Rzecki opowiada, jak przyszedł egzekwować należność za komorne od dwóch studentów i spotkał się z kategorię odmową:

— Pan Wokulski — rzekłem, powstając z krzesła — nie okradł nikogo... Dorobił się majątku pracą i oszczędnością.

— Daj pan spokój — przerwał młody człowiek. — Mój ojciec był zdolnym lekarzem, pracował dniem i nocą, miał niby to dobre zarobki i oszczędził... raptem trzysta rubli na rok! A że wasza kamienica kosztuje dziewięćdziesiąt tysięcy rubli, więc na kupienie jej za cenę uczciwej pracy mój ojciec musiałby żyć i zapisywać recepty przez trzysta lat... Nie uwierzę zaś, ażeby ten nowy właściciel pracował od trzystu lat...

Tak w oczach Prusa wyglądała „walka klasowa ludu z posiadaczami”, o której rozpoczęciu przez studentów pisze genewska „Równość”. Do jakiej organizacji mogli na leżeć ci studenci z „Lalki” i pan Klejn?

„Ludwik Waryński — pisze historię „Proletariatu” — założył jesienią r. 1877 po powrocie z Puław, gdzie nawiązywał stosunki z młodzieżą instytutu rolniczego, warsztat ślusarski, w którym pracował wraz z kilku robotnikami i studentami. Warsztat ten był przez czas pewien centralną kuźnią pracy rewolucyjnej w Warszawie”.



Waryński zakładał wśród robotników kasy oporu, gromadzące fundusze na walkę strajkową oraz ściślejsze koła rewolucyjne. Takich kół powstało dziewięć. Do jednego z nich musiał należeć anemiczny pan Klejn i dwaj głodomorzy studenci.

Kiedy w sklepie Wokulskiego napadł raz któryś z subiektów na socjalizm, pan Klejn odpowiadał mu ze smutkiem: „Nie mówiłbyś pan tak, gdybyś przeczytał, choć z parę broszurek, nawet niedużych”. Jakie broszurki mógł czytać pan Klejn?

„W marcu r. 1878 — pisze dalej historię „Proletariatu” — Waryński podjął się przewożenia wydrukowanych w Lipsku broszur do Warszawy, co mu się też szczęśliwie udało. Około 6000 broszur, które dotarły do Warszawy, wywarły wielki wpływ na ożywienie roboty. Cała ówczesna literatura agitacyjna składała się z broszur następujących: „Kapitał a praca”, „Pośrednie podatki”, „Program robotników”, „Nieprzejednane kierunki”, „Ciekawe opowiadanie”, „Precz z socjalistami”.

Kiedy w sklepie Wokulskiego napadł raz któryś z subiektów na socjalizm, pan Klejn odpowiadał mu ze smutkiem: „Nie mówiłbyś pan tak, gdybyś przeczytał, choć z parę broszurek, nawet niedużych”. Jakie broszurki mógł czytać pan Klejn?

Oprócz Klejny są jeszcze socjalistami w „Lalce” dwaj studenci, którzy mieszkają w domu Wokulskiego. Jacy to mogli być socjaliści?

„W 1878 r. grono studentów warszawskich, oparte i przybyłymi z tak zwanego zabranego kraju, postanowiło zająć się uzbrojeniem ludu naszego w samowiedzę, świadomość swych interesów. Tak nawet brzmiało wtedy formułowanie słów: propaganda socjalistyczna. Inicjatorzy zrozumieli dobrze znaczenie tych słów i wojna domowa, walka klasowa ludu — z posiadaczami została hasłem noworozpoczętej roboty”. Tak pisało o pierwszej polskiej organizacji socjalistycznej w Warszawie ge-

*) Henryk Biez, „Proletariat — pierwsza socjalno-rewolucyjna partia w Polsce” (Moskwa, 1934).

To były właśnie owe broszurki, które czytał pan Klejn.

Prus nie wiele nam mówi o tych pierwszych polskich socjalistach. Jest skrupowany przez cenzurę, ale i tak nie wiele więcej mógł by powiedzieć. Patrzy na nich dobroliwie i wyrozumiale jak na nieszkodliwych marzycieli. Nie jest to jednak ważne. Aby zrozumieć „Lalkę“, trzeba umieć dojrzeć ten splot fikcji powieściowej i historii, któremu zawdzięczamy obecność pierwszych „proletariatyków“ w największej powieści polskiej XIX wieku. Wzruszająca jest ścisłość pisarza w opisywaniu zdarzeń, którym nie mógł przypisywać większego znaczenia, a które notuje z dokładnością do paru miesięcy. Klejn i studenci z „Lalki“ zostają nagle aresztowani i przepadają, dzieje się to w połowie roku 1879.

Porównajmy raz jeszcze powieść z historią. Pierwsze aresztowania warszawskich socjalistów nastąpiły jesienią roku 1878. Waryński, tropiony przez policję, musiał uciekać do Galicji. Potem w kwietniu i lipcu nowe większe aresztowania, całkowicie rozbiły organizację kół rewolucyjnych. Razem aresztowano wtedy 58 robotników i 79 inteligentów**). Wśród tych 79 inteligentów znajdował się napewno pan Klejn i dwaj niewyplacalni lokatorzy Wokulskiego.

Są w „Lalce“ socjaliści, nie ma w niej robotników. Jest to w całej polskiej literaturze powieści najbardziej mieszczańską. Jeszcze trafniej można ją nazwać: powieścią o trzecim stanie. Krąg ludzi, interesów i rzeczy, o których mówi nam „Lalka“, można bardzo łatwo nakreślić na planie Warszawy: Stare Miasto i Powiśle, Krakowskie Przedmieście i Miodowa, Aleje Ujazdowskie i Łazienki. Sklep, sąd i kamienica czynszowa, piwiarnia, kościół i resursa kupiecka. Subiekt, pośrednicy i kupcy, lekarze, adwokaci i studenci, potem długo nic i wreszcie lud. A lud — to stróż, dorożkarz, lokaj, chłopiec, który biega na posyłki i furman, który rozwodzi towary, paru rzemieślników i dziewczyna uliczna.



To wszystko. Poza tym mieszkają jeszcze w Warszawie Żydzi i arystokraci. To cały krąg „Lalki“: Warszawa bez Pragi, Królestwo Kongresowe bez Łodzi. A fabryki były na Pradze i w Łodzi.

Ale przemysł należy do innego świata, należy w znaczeniu bardzo konkretnym, należy po prostu do kogo innego. To są już inne pieniądze. W kamienicach czynszowych, spółkach handlowych, sklepach i bankach ulokowane były kapitały kupców, Żydów, arystokracji. Fabryki budował obcy zagraniczny kapitał. W kręgu „Lalki“ sprowadzano, sprzedawano, kupowano perkaliki. Wielki przemysł zakładał kto inny.

Nie ma w „Lalce“ ani robotników, ani fabrykantów. I być w niej nie mogli. Nie myli się wielki realista. Arystokrację, Żydów i kupców łączyła wspólność interesów. Owszem, mamy w „Lalce“ jeden opis fabryki. Ale fabryka ta była we Francji. I panna Izabela Łęcka oglądała ją ze swego powozu w czasie zagranicznego wojażu:

„Zjeżdżając z góry, w okolicy pełnej lasów i łąk, pod szafirowym niebem, zobaczyła otchłań, wypełnioną obłokami czarnych dymów i białych par i usłyszała głuchy loskot, zgrzyt i sapanie machin. Potem widziała piece, jak wieże średniowiecznych zamków, dyszące płomieniami — potężne koła, które obracały się z szybkością błyskawicy — wielkie rusztowania, które same toczyły się po szynach — strumienie rozpalonego do białości żelaza i półnagich robotników, jak spizowe posągi o ponurych wejrzaniach. Ponad tym wszystkim krwawa łuna, warczenie kół, jęki miechów, gromot młotów i niecierpliwe oddechy kotłów, a pod stopami dreszcz wylęknionej ziemi... To są straszni ludzie papo — szepnęła do ojca.“

Wystarczy porównać ten pełen grozy i przerażenia, utrzymany w najgorszym stylu romantycznym, obraz piekła, który ma być fabryką, z pełnymi sentymentu i głębokiego zrozumienia opisami w „Lalce“

***) Wolkowicz, „Początki ruchu socjalistycznego w Polsce“.

sklepu i działalności handlowej, aby zdać sobie sprawę z odległości, jaka dzieliła Warszawę od Łodzi, z odrębności tych dwóch różnych kręgów gospodarki kapitalistycznej w ósmym dziesiętku XIX stulecia. Ale dla panny Izabeli, wiernej czytelniczki poezji jej kuzyna Zygmunta, fabryka jest nie tylko czymś przerażającym i obcym. Zwykła stalowa huta przemienia się w obóz zbuntowanych demokratów, gotowych łada chwila ruszyć do szturm i zburzyć jej piękny świat. W snach panny Łęckiej zjawia się Wokulski w obłoku czarnych dymów i białych par, z ogromnymi, czerwonymi dłońmi, w rozpiętej zasmołonej koszuli. To niemal Pankracy na czele rewolucji uderzający na okopy Świętej Trójcy. „Nie znasz tych ludzi — mówi pan na Izabela do swojej kuzynki Florci — a ja widziałam ich przy pracy. W ich rękach stalowe szyny zwijają się jak wstążki. To straszni ludzie. Oni dla swoich celów umieją poruszyć wszystkie siły ziemskie, jakich my nawet nie znamy...“ To niemal Matylda de la Mole, która ostrzega brata przed Julianem Soremem! „Strzeż się tego chłopca i tej energii, skoro powtórzy się rewolucja pośle nas wszystkich na gilotynę“.



Ale w „Lalce“ nie ma ani obozu Świętej Trójcy, ani zbuntowanych demokratów. To rok 1878. „Wasze firmy — mówi książę do Wokulskiego — są także herbami, nasze herby są także firmami, które gwarantują rzetelność w prowadzeniu interesów...“

Okopy Świętej Trójcy to już tylko Aleje Ujazdowskie. Wielcy feudalowie mieszkają w mieście i szukają korzystnej lokaty dla ogromnych dochodów z gorzelnii i cukrowni. „Baron... utrzymuje jakąś spółkę z lichwiarzami, a fortuna marszałka urosła głównie ze szczęśliwych pogorzeli, no i... trochę z handlu bydłem w czasie wojny secesyjnej“.

A Wokulski nie jest Pankracym ludowej rewolucji, ale reprezentantem mieszczańskiego społeczeństwa, którego ideałem jest — jak sztychł Marks — „powszechna mierność, czuła moralność i spokojny handel“. To tylko kupiec galanterijny, który dorobił się pieniędzy, rozdał paru studentom stypendia, zaopiekował się upadłą kobietą, kramarzom dopomógł do założenia sklepów, a w czasie wielkopostnych kwest na ubogich wypożyczał ze swego sklepu do kościoła: fontannę, sztuczne ptaszki śpiewające, pozytywkę, wygrywającą Lucję z Lammermooru, japońskie wazony i mnóstwo dywanów.

Podziwiam okrucieństwo realisty wobec własnych złudzeń. Nauczyciel filantropii z „Kronik Tygodniowych“ Kuriera Warszawskiego pokazuje w „Lalce“ dobroczynnego kupca: „Rzucił tysiące rubli do kas urzędowych dobroczyńców, aby kupić za to rozgłos, nie pytając co się robi z pieniędzmi. Członkowie Towarzystwa Dobroczynności we frakach składali mu podziękowania za ofiarę dla wiecznej łaknącej instytucji, hrabina Karolowa we wszystkich salonach opowiadała o pieniądzach, które złożył na jej ochronę“.

W „Sprawozdaniu z badania przemysłu fabrycznego w Królestwie Polskim“, ogłoszonym przez rosyjskiego urzędnika Januła w Petersburgu w roku 1888, znajdujemy listę instytucji filantropijnych przy 89 największych fabrykach Królestwa. Zawiera ona 1 żłobek, 1 ogródek, 1 ochronkę, 1 niedzielną szkołę dla dorosłych. Dwanaście fabryk miało swoje szkoły, albo dopłacało do szkół sąsiednich. Wydatki na ten cel wynosiły od 300 do 1.500 rubli na przedsiębiorstwo rocznie.

„Każy naród — pisał jeszcze w roku 1882 Aleksander Świętochowski we „Wskazaniach politycznych“ — który nie zamiera, lecz żyje i postępuje, musi być zaborczym, jeśli nie orężnie, to cywilizacyjnie. Dalecy jesteśmy od zamiaru apoteozy naszego losu, winniśmy wskazać jednak na pomyślną stronę jego przeznaczeń. Mianowicie otworzył on przed nami szerokie pole podbojów przemysłu i handlowych.“

W niespełna pięć lat później Prus pokazuje w „Lalce“ to szerokie pole cywilizacyjnego podboju. Wokulski przechadza się po Powiśle: „Ten płat ziemi nadrzecznej, zasypyany śmieciem z całego miasta, nie urodzi nic nad parterowe i jednopiętrowe domki barwy czekoladowej i jasno-żółtej, ciemno-zielonej i pomarańczowej. Nic, oprócz białych i czarnych parkanów, otaczających puste place... Widać było rudery, zapadnięte niżej bruku z dachami porośniętymi mchem, lokale z okiennicami dniem i nocą zamkniętymi na sztaby, drzwi zabite gwoździami, naprzód i w tył powychyłane ściany, okna latane papierem, albo zatkałe lachanem“.



„Kurier Warszawski“ z roku 1885 zamieszcza wrażenia jakiegoś Szweda z wizyty w Warszawie. Pięte on o mieszkaniach robotniczych: „Największe dochody mają posesje z mieszkań, stawianych dla klasy wyrobniczej. Wystawcie sobie gnojniki po strychach i suterenach, istne lupanaria, mieszczące każde po kilka rodzin, skazanych na powolne zatrucie siebie i drugich. Kurniki tego rodzaju przynoszą właścicielom po 15 koron tygodniowo, to też obrót roczny w tych domach budowanych łącznie, przenosi często kapitał zakładowy“.

„We wszystkich warszawskich fabrykach miejskich — pisał znowu w urzędowym sprawozdaniu jeszcze jeden carski urzędnik — w których wówczas pracowało około 20 tys. robotników, nigdzie bez wyjątku robotnicy nie otrzymywali mieszkań od miasta i przeto przepełniali wszystkie możliwe i nieprzystosowane dla mieszkania ludzkiego piwnice, poddasza i kąty tego wielkiego i mało schludnego miasta...“.

Popatrzmy raz jeszcze oczami Prusa na Powiśle. „Szedł — pisał o Wokulskim — przez brudne szyby zagłądał do mieszkań i nasycił się widokiem szaf bez drzwi, krzesel na trzech nogach, kanap o wydartym siedzeniu, zegarów o jednej wskazówce z porozbijanymi cyferblatami. Szedł i cicho śmiał się na widok wyrobników wiecznie czekających na robotę, rzemieślników, którzy trudnią się tylko lataniem starej odzieży, przekupek, których całym majątkiem jak kosz zeschniętych ciastek — na widok obdartych mężczyzn, mizernych dzieci i kobiet niezwykle brudnych“.

„Spis jednodniowy z roku 1882 — pisał historyk ruchu robotniczego, pokazał, że w tym czasie Warszawa miała 79.000 mieszkań i 319.000 pokojów. Z liczby tych 79.000 mieszkań czterdzieści sześć procent składało się z jednego pokoju, dwadzieścia trzy procent z dwóch. Suteryn wilgotnych i chłodnych było piętnaście procent, mieszkało w nich do 60.000 osób. W dwóch procent z nich nie było okien, w czterech procent nie było pieców. Na jeden pokój wypadało przeciętnie czterech lokatorów. W tych suterynach mieściły się czystokroć po dwie trzy rodziny w jednym pokoju bez różnicy płci i wieku. W czasie od 1862 do 1882 roku ludność suteryn wzrosła dziesięciokrotnie, podczas gdy ogólna ludność miasta tylko w dwójnasób. W 1882 roku było w Warszawie około 156.000 ludności robotniczej (41 proc.), do której zaliczono robotników fabrycznych, rzemieślników i wyrobników. Śmiertelność tej kategorii ludności stanowiła 40,3 na tysiąc, ludności zaś mieszkającej w lepszych lokalach — 18 na tysiąc...“.

„Oto miniatura kraju — kończy Prus opis spaceru Wokulskiego przez Powiśle — w którym wszystko dąży do spodlenia i wytopienia rasy. Jedni giną z niedostatku, drudzy z rozpusty. Praca odejmuje sobie od ust, aby nakarmić niedołęgów, miłośnier-

*) W. W. Światłowski: „Robotnik fabryczny. Badanie zdrowia rosyjskiego robotnika fabrycznego. Stan sanitarny robotnika fabrycznego w kraju Nadwiślańskim i w Małopolsce“. (Warszawa, 1889).

***) B. Budkiewiczowa: „Ruch robotniczy w Królestwie Polskim w latach 1870—1890“, Część I, (Mińsk, 1934).

dzie hoduje beczelnych próżniaków, a ubóstwo, nie mogąc zdobyć się na sprzęty, otacza się wiecznie głodnymi dziećmi, których największą zaletą jest wczesna śmierć“.

Podziwiam raz jeszcze prawdziwość realisty, wierność i szerokość obrazu społecznego rozwoju, który czyni z „Lalki“ historię XIX wieku, wielką powieść o kapitalizmie. Miejsce, które zajmuje „Lalka“ w literaturze polskiej, można porównać jedynie z obszarem, jaki Balzak i Flaubert wypełniają na mapie literatury francuskiej. W „Lalce“ mamy obraz przemian, których wiennymi historykami na Zachodzie były aż trzy pokolenia mieszczańskich pisarzy. Tu wiek XIX zaczął się przecież właściwie dopiero po roku 1863. Zaczął się z opóźnieniem conajmniej dwóch pokoleń, ale kończył już równo z całą Europą. W latach osiemdziesiątych klasowa struktura społeczna Królestwa była już uformowana. „Lalka“ jest polską *summą* mieszczaństwa, napisaną przez przedstawiciela pokolenia przełomu.

Jeszcze przecież w roku 1881, a więc za ledwie na sześć lat przed ukazaniem się pierwszych odcinków „Lalki“ w „Kurierze Codziennym“, pisał Prus apologię nowego porządku:

„Dziś mamy jeden tylko organizm, mieszczący w sobie pracę, kapitał i inteligencję, które nawzajem wymieniają usługi. Jeżeli dzisiaj spotykamy często zjawiska wyzyskiwania i braku solidarności, to do ich usunięcia wystarczy spokojny rozwój cywilizacji...“

W roku 1888 ten sam Prus napisał: „Czy społeczność podzielona na nieznoszących się wzajemnie: majstrów i czeladników, gości i kelnerów, naczelników i woźnych — nie jest podobną do pociętej na kawałki glisty, która może przydać się już tylko na żywienie karpi lub szczupaków? — O Jeruzalem! Jeruzalem“. Ufna, radosna i optymistyczna wiara w postęp cywilizacji, w harmonijny rozwój społeczny, ustąpiła gorzkiej i surowej krytyce tego „nowego, wspaniałego świata“, jaki przyniósł rozwój kapitalizmu.

Ale dokąd ta krytyka prowadzi? Kogo Prus oskarża w „Lalce“?

W imię praw pokrzywdzonych, w imię zasad ludzkości i sprawiedliwości społecznej Prus bronił będzie solidarności narodowej, ujmie się za krzywdą wyzyskiwanych. Ale w tym samym czasie solidaryzm narodowy pokazuje swoją inną złowieszczą twarz, twarz zastraszonego sklepikarza, który lęka się konkurenta z sąsiedniej ulicy. Rozczarowany pozytywista, który przestał wierzyć w postęp cywilizacji, szuka rozwiązań utopijnych, marzy o wynalazku, który zmieni oblicze ziemi. Rozczarowany mieszczański, zagrożony coraz bardziej w swoim byciu, coraz ciemniejszą widzący przyszłość przed sobą, odwraca się po prostu ze wstrętem od idei postępu i sprawiedliwości społecznej i kurczowo broni swojej własności, swojego sklepu, swoich pieniędzy.

„Lalka“ jest wielką powieścią o „straconych złudzeniach“. Ale odczytać w niej możemy jeszcze inny dramat, równie historyczny i równie głęboki: dramat myśli mieszczańskiej, która po raz ostatni próbuje bronić wielkich ideałów swojej przeszłości, bronić postępu. Próbuje bronić naprzód.

Przy czytaniu „Lalki“ uderza nas jak gdyby stopniowe zwyżanie się jej horyzontów. Powieść o awansie społecznym staje się powieścią rozczarowania. Powieść o „straconych złudzeniach“ kończy się wyznaniem wiary — „w ziemię, prostego człowieka i Boga“. Surowa krytyka kapitalizmu wyraża się w oskarżeniu arystokracji o rozpustne życie, lenistwo i zachowywanie kastowych przesądów. I wreszcie wielka historia rozwoju społecznego kurczy się do obrony polskości handlu i walki z konkurencją żydowską.

Trzeci tom „Lalki“ pokazuje nam wyrażanie Narodowych Demokratów z zawiedzionych pozytywistów. Na Krakowskim Przedmieściu mówi się tylko o Żydach. Wielki cień Szlangbauma zasłania mieszczańcom cały świat. Klęską społeczną staje się teraz przejście sklepu Wokulskiego w ręce żydowskie, złąską narodową — powierzenie Żydom kapitałów arystokracji.

Prus w imię patriotyzmu i solidarności narodowej oskarża arystokrację i broni praw pokrzywdzonych. Ale stopniowo ideolog mieszczaństwa, broniąc narodowej so-

lidarności, coraz mniej dostrzega wyzyskiwanych, coraz bardziej przeraża go rosnący stale przedział społeczny, groźna zapowiedź wojny domowej.

W roku 1886 pisze Prus w „Kurjerze Warszawskim“, że w Anglii nastąpił „straszny przedział społeczny“, garstka skupiła w swoich rękach ogromne bogactwa, a ogół cierpi nędzę. W tych warunkach — pisze — stan społeczeństwa może się tylko pogarszać, nigdy się zaś na dotychczasowej drodze nie polepszy... Jak szczęśliwą wobec Anglii jest np... pół-dzika Bułgaria, gdzie... wszyscy czują się członkami jednej rodziny. To też, gdy w cywilizowanym Londynie, pomimo całego rozumu i wpływu klas produkujących, o mało nie doszło do walki domowej na ulicach, prości Bułgarzy... jak jeden człowiek wystąpili przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi“.

Tak kończy się mieszczańska obrona postępu i cywilizacji. Oto kres summy mieszczaństwa.

„Dowodem ograniczenia — pisze Marks w „18 Brumairze“ — byloby wyobrazić sobie, że drobnomieszczaństwo z zasady przeforsować chce swoje egoistyczne interesy klasowe. Wierzy ono raczej, że szczególne warunki jego wyzwolenia są ogólnymi warunkami i że tylko w ten sposób uratować można społeczeństwo współczesne i uniknąć walki klasowej. Podobnie nie należy wyobrazić sobie, że demokratyczni reprezentanci — to wszystko shop-keepers albo ich wielbiciele. Przez swe wykształcenie i sytuację osobistą mogą oni być dalecy od nich jak niebo od ziemi. Przedstawicielami drobnomieszczaństwa stają się oni dlatego, że myśl ich nie wybiega poza granice, których drobnomieszczańin nie przekracza w życiu, że dochodzą przeto teoretycznie do tych samych zadań i rozwiązań, do których drobnomieszczańina doprowadzają w praktyce jego interesy materialne i położenie społeczne. Taki jest w ogóle stosunek między politycznymi i literackimi przedstawicielami klasy, a reprezentowaną przez nich klasą“.

(C. d. n.)

Jan Kott



PRZEGLĄD SOCJALISTYCZNY

Już się ukazał Nr 3 (17) „Przeгляdu Socjalistycznego“ o następującej treści:

- St. Szwalbe — Na nowym etapie
J. Hochfeld — Problematyka nowego okresu
O. Lange — Gospodarze podstawy demokracji w Polsce
W. Jastrzębowski — U źródeł niemieckiej zabobności
A. Kaduszkiewicz — Struktura eksportowa Niemiec a traktat pokojowy
M. Rybicki — Perspektywy przedsiębiorczości komunalnej w Polsce
J. N. Miller — Uwagi na temat repertuaru współczesnego teatru polskiego

KARTKI Z HISTORII SOCJALIZMU
M. Szerer — Leon Berenson
J. Mulak — Władysław Andrzejak (Antek)

NA HORYZONCIE

w Polsce — w ZSRR — w Europie za morzami

IDEJE — MYŚLI — ZAGADNIENIA

- H. Greniewski — Organizacja ubezpieczeń
A. Fidler — Nafta
T. Glowacki — Fikcja demokracji
A. Steinsberg — Nauka niemiecka w służbie Hitlera
L. Bukowiecki — Film, niesie oświatę
W. Piotrowski — Nowa Europa
Z życia partii
Notatnik referenta
Książki i czasopisma nadesłane

Cena numeru zł 20.—

Adres redakcji i administracji:
Warszawa, ul. Daszyńskiego 18, m. 24

Panu Tygodnikowi Warszawskiemu w odpowiedzi

Przeczytałem w Nr 12 „Tygodnika Warszawskiego“ artykuł pt. „Wielki poeta o małej poezji“. Dlaczego przeczytałem ten artykuł, ja, który „Tygodnika Warszawskiego“ nie czytam nigdy? Dlatego, że przypadkiem rzuciwszy okiem na szeroką, gęsto zadrukowaną stronicę, dostrzegłem nagle zacytowane w tekście znajome strofy. Dawno już nie czytałem Słowackiego. I oto strofy poety na nowo uderzyły mnie swoją pięknoscią. Chcąc nie chcąc przeczytałem również żalostny kontekst, w którym zostały podane. Wcale mi to łatwo nie poszło. Wreszcie przemożem się i przeczytałem.

O jak trudno —

Zakochanemu w tej śmiertelnej twarzy...

Trudno — muszę jednak przytoczyć cały ten elaborat „Tygodnika Warszawskiego“ dla uciechy czytelników, dla przestrogi i dla nauki. Posłuchajmy:

„Czytając podopiecznych marksistowskich poetów spod znaku „Odrodzenia“ i „Kuźnicy“, którym wydaje się, że reprezentują poezję narodową, można dostać melancholii. Żal jest tych zmarowanych i chybionych wysiłków. „Kapitał“ Marksa napisany wierszem przestaje być traktatem ekonomiczno-społecznym, a nie staje się utworem poetyckim. Utylizaryzm nigdy i nigdzie nie stworzy wielkiej poezji.

Niestety, nie ma dotychczas rozprawy krytycznej o powojennej poezji polskiej. Nie pojawił się jeszcze nowy Mochnicki, któryby wyznaczył szlaki poezji narodowej i wykazał tę rozpaczliwą dysproporcję pomiędzy wielką epoką historyczną, a małą dzisiejszą poezją.

Inaczej było sto lat temu. „Wielka epoka listopadowa“ zrodziła wielkich poetów. Wprawdzie obok tytanów parali się z poezją i małe pieski, ale też nikt nie twierdził, że są to lwy. O tych ostatnich miary rymopisach tak pisze Słowacki w „Beniowskim“:

Widać, że po tym deszczu w Polsce krwawym,

Nowi poeci rodzą się jak grzyby. Szkoda! że każdy jest nadzwyczaj łzawym! I w oknie duszy ma zielone szyby!... Każdy ma język swój, co jest kulawym, Szkoda, że wszyscy są okuci w dyby, A kiedy straszną opisują burzę, To chmura piorun zostawia w cenzurze.

A oto, czego Słowacki żąda od poetów: Żeby też jedna pierś była zrobiona Nie podług miary krawca, lecz Fidjasa!

Autor „Beniowskiego“ pisze również o poetach rosyjskich, którym zbyt opieką caratu, nie pozwalala rozwinać skrzydeł:

To o poetach ruskich. — Car jest wspólnik Poetów, jest Minosem, Estetyką,

Szległem; na niego patrzy pan Kukulnik, Tragedię jaką zamyslałając dzika, Za sceną bowiem stoi karaulnik Z ogromną pałą, szablą lub motyką, Z kibitką...

...O! Słowianie...

Długoż pod knutem wytrzymując bicia, Drząc jak otruty pies, co tylko skomla, Będziecie słuchać grających na dromli Poetów?... Piszczą, jak pod korkiem szklanka,

Prawda i piękność... stoi jak wygnanka.

O celach i zadaniach poezji dowiadujemy się od prawdziwych, z bożej łaski poetów. Uwagi Słowackiego sprzed stu lat nie straciły na aktualności i zasługują i dziś na przypomnienie“.

Zacytowałem ten cały przydługi artykuł z „Tygodnika Warszawskiego“ jako kuriozum. Spróbujmy zrozumieć jego wykrętą i bzdurną zawartość. Dowiadujemy się tedy, że są w Polsce jacyś podopieczni marksistowscy poeci, że grupują się wokół „Odrodzenia“ i „Kuźnicy“, że „Kapitał“ tłumaczą na wiersze i że to im się nie udaje, bo nie pojawił się dotąd nowy Mochnicki.

Ponieważ od dawna interesuje mnie rozwój poezji polskiej, wiadomość ta zelektryzowała mnie prawdziwie. Że epoka romantyczna wydała w Polsce wielką poezję, o tym wiedziałem już dawniej, że w okresie tym pisali również poeci mniej wysokiego lotu wiedziałem również. Zastanowiło mnie jednak dlaczego autor rewelacji podpisany (ostrożność godna pochwały!) literkami wr. cytuje tuż obok wierszy Słowackiego o poetach w kraju sąd jego o poezji rosyjskiej okrojony zresztą i zniekształcony. Ponieważ wr. rozdziera szaty nad stanem dzisiejszej poezji polskiej, więc przypuszczając należy, że zacytowane strofy o poezji rosyjskiej z czasów caratu, którego zbyt opieką nie pozwalała rozwinać skrzydeł poetom, mają w intencji autora odnosić się do „podopiecznych poetów marksistowskich“ spod znaku „Odrodzenia“ i „Kuźnicy“. Czyli, że poezja polska jest dzisiaj pod opieką caratu i nieobecność Mochnickiego nie pozwala jej wydobyć się spod tego opiekuństwa. Wszystko to brzmi rewelacyjnie, jeśli chodzi o zdumiewające wysiłki autora, by wypowiedzieć bzdurę bez pozostawienia piorunu w cenzurze zdrowego rozsądku i znajomości historii.

Ponieważ jednak poeta z „bożej łaski“ wie wszystko o narodzie i poezji, spróbujmy i my odwołać się do Słowackiego. Panowie z „Tygodnika Warszawskiego“ myślą się, jeśli sądzą, że ich ideał poezji „narodowej“ zgodny jest z poglądami Słowackiego na poezję narodową. Panowie z „Tygodni-

ka Warszawskiego“ dziś jeszcze stoją na tych samych pozycjach, z których różni pismacy z „Orędownika“ (zarówno z tego, który wychodził za czasów Słowackiego, jak i z tego, który ukazywał się przed rokiem 1939) i z „Tygodnika“ wychodzącego przed stu laty w Poznaniu atakowali poezję Słowackiego za jej rzekomo niepolską i nie narodową postawę.

Radzę panom zajrzeć do pism zbiorowych wielkiego narodowego poety z bożej łaski Juliusza Słowackiego, znajdą tam krótką i pouczającą rozmowę pt. „Krytyka krytyki i literatury“. W tym fragmencie redaktorzy pp. Orędownik i Tygodnik pouczają Szekspira — Słowackiego o celach i zadaniach poezji narodowej.

„Ja mu zaś to jedno tylko zarzucę — mówi p. Orędownik — że nie narodowy. Urodził się Słowianinem, a czerpie raz gdzieś w Szkocji, drugi raz w Danii, to znów we Włoszech, to w Cyprze... Zamiast naszą staropolską duszę malować — on wyszukuje Bóg wie czego po świecie, więc co do dzieł jego, nie wiele o nich rokuje, ale felietonista będzie tęgi...“

„Pan Tygodnik“ oskarża Słowackiego o brak serca i idealizmu:

„...Utwór to, który wyszedł z głowy, a nie przeszedł przez serce, nie skapał się w krwi płomienistej uczucia... To też los jego wcale nas nie obchodzi — zimni jesteśmy czytając; nie unosimy się z kwiatów zapachem w sferę ideału, ani z rosą niebieską spadamy na kwiaty“.

A może by jeszcze Pan Tygodnik Warszawski przeczytał przedmowę Słowackiego do III tomu poezji, przedmowę, w której poeta występuje przeciw szkole katolickiej poetów polskich (podobnie zresztą jak w nieuczciwie okrojonych w „Tygodniku“ strofach „Beniowskiego“) i przeciw wulgarnemu pojmowaniu narodowego ducha w poezji. Może przypomni sobie również, jak to Słowacki wydrwił ideał „kolorowego ulana“, bez którego po dziś dzień nie może się obejść lotna proza polska. Nawet Śluz dziennikarski, nawet ropucha przydrożna literatury powinna od czasu do czasu to i owo przeczytać, zwłaszcza z poezji wieszce. A nie powtarzać tylko jak w powieści Gombrowicza: „Bo wieszczem był!“.

Niech Pan Tygodnik Warszawski przypomni sobie słowa Nicka, błazna królewskiego w dramacie „Maria Stuart“: „Głupstwo jest wieczne — głupstwo nie może umierać“. Niech przeczyta i niech się zamysli.

Mieczysław Jastrun.

ALEKSANDER SZPAKOWICZ

LUMPENBURŻU AZJA (II)

Losy mienia poniemieckiego, które trafiło do rąk szabrowniczych kształtowały się w bez porównania korzystniejszych warunkach dla nowych posiadaczy, aniżeli losy mienia pożydowskiego, które trafiło na ogół do tych samych rąk w okresie okupacji.

W odrodzonej i wyzwolonej Polsce od razu wprowadzono wolny handel. Każdy mógł sprzedawać wszystko co miał do sprzedania bez jakichkolwiek ograniczeń. Nawet zupełnie kryminalny handel obcymi walutami uchodził do czasu całkiem bezkarnie. Powstała istna orgia dzikiego handlu. Był to handel nieokiełznany, nie kontrolowany, anarchiczny, kapryśny. Istniały idealne wprost warunki dla wolnej i bezkarnej sprzedaży rzeczy kradzionych i szabrowanych. To też wielki szaber poniemiecki trafił w całości niemal na rynek. Zasobniejsze warstwy społeczeństwa kupowały cenniejsze przedmioty, mniej zamożne nabywały rzeczy mniej wartościowe.

Wynędzniała i obdarta po sześciu latach wojny i okupacji niemieckiej ludność Polski chciała się ubrać, mieszkańcy zniszczonych i spalonych miast i wsi chcieli na nowo urządzić swe domy i swe gospodarstwa. Nabywcy byli tedy mało wybredni, kupując niemal bez wyboru wszystko, co rynek podsuwał. Potężny głód

towarowy i nieograniczony popyt stworzył — rzecz można — idealne warunki dla szabrowniczych szabru.

W ten sposób powstały niezmiernie sprzyjające okoliczności dla błyskawicznego skapitalizowania nagrabionego mienia, dla przekształcenia go w najbardziej wygodną postać pieniężną. Kapitalizacja rzeczowa przekształciła się w kapitalizację gotówkową. Akumulowany w ten sposób kapitał przybrał uniwersalną, powszechną postać pieniądza, który mógł być natychmiast puszczony w dalszy obrót, w celu dalszego pomnożenia swej wartości.

Ale ten nowoczesny kapitał konkwestadorski nie stał się kapitałem zakładowym dla nowych przedsiębiorstw przemysłowych. Nie trafił ani do przemysłu, ani nawet do rzemiosła, nie zasilił poprzez banki życia gospodarczego i twórczej pracy, lecz znalazł sobie schronienie w pończosze jako pieniądź krajowy lub zagraniczny, a także w postaci kosztowności, jako najbardziej portatynnej postaci kapitału rzeczowego.

Powiedzieliśmy, że pieniądź ten znalazł schronienie w pończosze. Twierdzenie to wymaga pewnych komentarzy. Nie był to pieniądź ciulaczy, kryjący się w normalnych warunkach pieniężnych w pończosze. Przeciwnie, pieniądź szabrowniczy bynajmniej nie chciał spokojnie spoczywać w

kryjówce, lecz rwał się do aktywności gospodarczej, szukał wyjścia na rynek i żywiołowo żłobił sobie własne łożysko w życiu gospodarczym odrodzonej Polski.

Pieniądź szabrowniczy szukał zastosowania w sposób najbardziej odpowiadający moralności i nawykniom swego właściciela.

Najistotniejszą cechą tej moralności jest właściwie amoralność i brak hamulców, brak jakichkolwiek skrupułów i opanowania. Pieniądź szabrowniczy zachowywał się chytrze, podstępnie, bezczelnie i tchórzliwie zarazem. Gwałtownie, natarczywie szukał możliwości łatwego i szybkiego robienia wielkiej fortuny, odrzucał wszelkie granice legalności i wszelką lojalność wobec prawa, wobec nowego, demokratycznego państwa ludowego, w którym z miejsca dopatrywał się swego wroga. Gdy kapitał szabrowniczy uważał, że wróg ten jest słaby i nieporadny — zachowywał się szczególnie arogancko, wykradał władzom aprowizacyjnym z pod nosa cenne towary żywnościowe, okradał nawet transporty UNRRA, paskował i spekulował każdym towarem, którego brak na rynku dawał się we znaki, nawet jeżeli tym towarem była penicylina, surowica przeciwroścowa, jedwabne pończochy, czy esencja octowa.

Pieniądź szabrowniczy stworzył w du-

zym stopniu podwaliny handlu powojennego, umożliwił zdumiewająco szybki proces odbudowy ulicy Marszałkowskiej, podziwianej w jednakowym stopniu przez Polaków i cudzoziemców. Jest to niewątpliwy, choć niezamierzony wkład kapitału szabrowniczego w odbudowę kraju i życia gospodarczego. Ale zarazem kapitał szabrowniczy wycisnął swe piętno na handlu i na całym nieuspołecznionym odcinku życia gospodarczego.

Handel ten przez dłuższy czas cechowały skrytość i podstęp, kierowanie się zasadą „mały obrót — duży zysk”, paskowanie, pochliwość i ryzykanctwo, walne przekraczania prawa i omijanie przepisów.

Były to więc cechy właściwe dla metod i psychiki lumpenburżuazji. Ale były to jednocześnie cechy, zdradzające prężność i dynamizm nowej warstwy burżuazji, która zrodziła się w czasach mętnych i wyrosła z nieczystego źródła, ale nie jest obciążona doświadczeniem i zgorzknieniem starej, przedwojennej burżuazji, znającej wprawdzie wartość i konieczność legalizmu, ale pamiętającej także trudne czasy kryzysów gospodarczych, plajt i klęsk handlowych.

Nowa burżuazja, lumpenburżuazja, nie zaznała jeszcze rozczarowań; nie ma poczucia miary, ani wyrobienia w interesach, choć poznała smak zarówno błyskawicznego zubożenia, jak i błyskawicznej straty całego dorobku. Dla tego lumpenburżuazja jest tak dynamiczna i pewna siebie, tak śmiało ryzykuje i naciera.

VIII.

Te swoiste cechy lumpenburżuazji i kapitału szabrowniczego nie mogły nie znaleźć swego odbicia w życiu politycznym kraju w ciągu ubiegłych dwóch lat, w okresie zakończonym wyborami do Sejmu Ustawodawczego. Reperkursje polityczne były nieuniknione chociażby ze względu na liczebność lumpenburżuazji, na ciężar gatunkowy jej działalności gospodarczej, ze względu na jej wpływy na otoczenie.

Mówiąc o wpływach, nie możemy pominąć jednego charakterystycznego zjawiska. Nie wolno mianowicie zataić faktu, że potępienie szabru jako proceduru, nie było bynajmniej powszechne. Demoralizacja, ów produkt okresu wojny i okupacji, bynajmniej nie ułatwiała walki z szabrem. Ale to nie tylko skutek fali demoralizacji wojennej. Ma to głębsze podłoże. Ciężar gatunkowy drobnomieszczaństwa w społeczeństwie polskim jest od stu lat bardzo duży, większy niż w szeregu innych krajów o analogicznej strukturze społecznej. Duży odsątek drobnomieszczaństwa w Polsce jest wynikiem szybkiego rozkładu półfeudalnego ustroju gospodarczego z jednej strony i znacznie wolniejszego rozwoju wielkiego kapitału z drugiej strony. Otóż ta wielka liczebność drobnego mieszczaństwa miejskiego i miasteczkowego stwarza w Polsce podatny grunt dla usprawiedliwienia wszelkich metod dorabiania się. W oczach drobnego mieszczaństwa, według moralności pani Dulskiej, szaber nie jest czymś bezwzględnie karygodnym, przeciwnie, do niego łatwo się przyzwyczaić, łatwo się z nim pogodzić, a z czasem można dojść do pełnej aprobaty tego proceduru.

Taka jest atmosfera, w której kapitał

szabrowniczy porastał w zaufanie pewnego, dość liczne środowiska, atmosfera, w której zraszał się z innymi warstwami burżuazji, mającymi więcej kultury ogólnej i handlowo-gospodarczej. Obserwowaliśmy zresztą niespotykane dawniej zjawisko, że dumna ze swego szlacheckiego pochodzenia drobna burżuazja polska obnosi obecnie z chlubą pogardzone do niedawna godło wagi kupieckiej i lady sklepowej.

Pani Dulska pobłogosławiła swoich synów i wnuków na szaber, ona też im patronowała, gdy zabrali się do handlu i spekulacji, ona wreszcie pomogła im otoczyć się sławą pseudopatriotycznego cierpiętnictwa w czasie okupacji, i nikt inny, tylko stara pani Dulka stworzyła im opinię męczenników o wolność i demokrację w czasach obecnych.

IX.

Wspomnieliśmy już powyżej, że kapitał szabrowniczy traktował państwo ludowe wrogo, czaił się wobec tego państwa, używał podstępów przeciwko jego przepisom i prawom, usiłował siłą faktu rozbić zakreślone przez nowy ustrój ramy prywatnej działalności gospodarczej. Ten żywiołowy dynamizm, który w sferze interesów handlowych na ogół nie przekroczył rozmiarów niezorganizowanego, żywiołowego oporu, przybrał jednak inną postać aktywności w sferze politycznej. W tej sferze właśnie wrogi stosunek i podjazdowa ukryta walka przeciwko państwu skrzystalizowały się jako aspiracje polityczne, jako dążenie do restauracji pełnego kapitalizmu, do obalenia dokonanej bez przelewu krwi polskiej rewolucji społecznej.

Kapitał szabrowniczy, który przez swą buńczuczność i dynamizm nadawał ton wszystkim elementom kapitalistycznym, ocalał po wielkich reformach, najmocniej i najwyraźniej wypowiadał się za przywróceniem pełnej swobody dla działalności kapitalistycznej, przeciwko nacjonalizacji przemysłu i banków, przeciwko demokratycznej reformie rolnej.

Kapitał szabrowniczy, lumpenburżuazja nie wytworzyła własnej partii politycznej, lecz zapelniała pory istniejących stronnictw, a przede wszystkim znalazła sobie adekwatnego wyraziciela swych aspiracji i dążeń w stronnictwie Mikołajczyka.

W tej partii lumpenburżuazja polska ujrzawszy swego najbliższego sojusznika — burżuazję chłopską, marzącą również o restauracji kapitalizmu i pełnej swobody wyzysku. W tym stronnictwie lumpenburżuazja widziała drogę przymierza z czynnikami reakcyjnymi na Zachodzie, dążącymi do restauracji kapitalizmu w Polsce i do ponownego wciągnięcia Polski w krąg swych wpływów politycznych i gospodarczych.

W PSL, może nie tyle w samych szeregach tego stronnictwa, lecz w jego najbliższej peryferii, spotkał się chwacki „chłop z Marszałkowskiej” z zawziętym i mściwym kapitalistą wiejskim, który pragnąłby obecnie zastąpić w wyzysku wsi usuniętego przez reformę rolą obszarnika, spotkał się tam z byłym urzędnikiem sanacyjnego państwa i byłym funkcjonariuszem polskiego czy obcego kapitału, z byłym endeckim czy sanacyjnym politykiem, z byłym sanacyjnym oficerem, któremu udział w bandach na zawsze odciął drogę do nowej kariery, spotkał się z „byłymi ludźmi” wszelkiego autoramentu, których łączy wspólna nienawiść do nowego ustroju polityczno-społecznego i wspólne dążenie do przywrócenia ustroju kapitalistycznego. Ten program negacji najbardziej odpowiadał lumpenburżuazji, która nie jest doświadczona w polityce. Dla tego może reakcja polska nie silila się na tworzenie jakiegos pożytywnego programu, nie projektowała jakichś swoich własnych kontrreform społeczno-gospodarczych.

Zresztą, sztandar negacji był zupełnie wystarczający, bo walka przeciwko istniejącemu porządkowi demokratycznemu była dla wszystkich zainteresowanych mocniejszym cementem, aniżeli jakiegokolwiek programu pożytywnego.

X.

Zachodzi pytanie, czy omawiając aspiracje polityczne lumpenburżuazji słusznie używaliśmy wszędzie formy czasu przeszłego; czy opisane zjawiska należą już całkowicie do przeszłości, do przebrzmiałych wydarzeń?

Oczywiście, że twierdzenie takie byłoby z gruntu fałszywe. Lumpenburżuazja nie znikła, kapitał szabrowniczy, będący do dziś najbardziej bojową postacią prywatnego kapitału w Polsce nie tylko nie znikł, lecz przeciwnie, porasta nadal w pieniądzu. A zatem nie mogły zniknąć i aspiracje polityczne, wyrastające z interesów tego kapitału.

Mimo to można jednak mówić o tych sprawach, używając w pewnym sensie czasu przeszłego. Idzie bowiem o to, że zjednoczona reakcja przegrała wielką, może największą bitwę polityczną, w swej walce przeciwko nowej Polsce. Druzgocąca klęska wyborcza reakcji polskiej nie jest zwykłą przegraną wyborczą. Przegrana ta stała w ogólnym zarysie bitwa o restaurację kapitalizmu w Polsce, o obalenie ustroju ludowo-demokratycznego, o skierowanie kraju na inne tory rozwoju społeczno-gospodarczego.

Zwycięstwo wyborcze demokracji ludowej zamyka zarazem okres tymczasowości, okres mniej lub bardziej mglistych marzeń i nadziei na sukces reakcji zachodniej, okres rachuby, że pomoże wielki i fałszywy krzyk o swojej krzywdzie, w którą sami reakcjonści zaczęli może potrosze wierzyć.

Coraz bardziej jasno zarysowuje się nowa sytuacja polityczna powstała po wyborach.

Dokonaliśmy wielkiego przewrotu społeczno-politycznego w majestacie prawa. Skorzystalismy z wielkiej i jedynej w swym rodzaju szansy dziejowej. I wykorzystalismy ją dobrze. Dzięki temu udało nam się w Polsce stworzyć fundamenty przyszłego szczęścia ludu polskiego, unikając masowego przelewu krwi i wojny domowej. Dzięki wielkiej przewadze obozu demokracji udało nam się zapędzić tę wojnę domową w podziemie i przez to złagodzić jej przebieg. Udało nam się rozproszyć siły oporu starego ustroju i siły dążące do jego restauracji. Ale mała wojna domowa mimo to toczyła się u nas „podskórnie” dosyć długo.

W nowej sytuacji wydaje się, że i ta mała „podskórna” wojna domowa dobiegła końca. Bandy się rozpadają, składają broń, amnestia wyciągnie z lasu resztę. Pozostaną tam najzawziętsze elementy, wrogie do szpiku kości, ale to będą już nie bandy, lecz dziki-odyńce, trzymające się do końca kniei.

W tej nowej sytuacji politycznej adherenci restauracji starego reżimu będą musieli zerwać ze starą piosenką pełnej negacji, absolutnej opozycji. Kapitalistyczne elementy w społeczeństwie zaczną szukać form legalnej działalności, które zostały zresztą przez nasz ustrój zakreślone dostatecznie szeroko. Jakkolwiek burżuazja jako klasa pozostanie nieprzejednaną, to przecież kapitaliści w rozsypce, w pojedynkę, będą musieli zachować się oportunistycznie i pójść na bardziej normalne zastosowanie nagromadzonych kapitałów, na dopasowanie się do dzisiejszego ustroju polityczno-gospodarczego.

XI.

Państwo ludowe uwzględni bardzo szerokie możliwości dla działalności prywatnego kapitału w handlu i przemyśle. Państwo życzy sobie, aby kapitał ten — niezależnie od swego pochodzenia — znalazł produkcyjne zastosowanie.

Nasza polityka gospodarcza niejednokrotnie miała do czynienia z nagle wybuchającymi paroksyzmami spekulacji i drożyzny, wywoływanymi przez wędrowni anonimowych i „bezrobotnych” dzikich kapitałów, szukających sobie nieprodukcyjnego zastosowania. To był właśnie wściekły, gorący pieniądz szabrowniczy.

Atmosfera tymczasowości sprzyjała

tym harcom, które wyrządzały olbrzymią szkodę naszemu życiu gospodarczemu. Ale okres tymczasowości dobiegł już końca. Nadeszła pora pełnej stabilizacji politycznej i gospodarczej. Ewentualnym dalszym wybuchem spekulacyjnym przeciwdziałała rosnąca potęga produkcji przemysłu państwowego, uspołecznionego handlu (spółdzielczego i państwowego), zwartość polityczna kraju, utrwalenie waluty krajowej.

W przyszłości więc jakkolwiek skuteczna działalność kapitału prywatnego będzie możliwa tylko w ramach istniejących praw i przepisów administracyjnych. Warunki te skolei popchną inicjatywę kapitału prywatnego w kierunku przezeń dotychczas omijanym i pożądanym z punktu widzenia interesów kraju, a mianowicie na tory produkcyjnego zastosowania w przemyśle i budownictwie. Ustawodawstwo nasze, czując, że potrzeba po temu dojrzała w pełni, precyzyjne obecne możliwości prywatnych inwestycji w tych dziedzinach.

Jeżeli idzie o kapitał szabrowniczy, to droga jego wiedzie do tych samych dziedzin. Będzie on musiał szukać zastosowania produkcyjnego. Moment ten wpłynie na szybsze zanikanie odrębności tego zjawiska, któremu na imię lumpenburżuazja. Mówiliśmy już na wstępie, że zjawisko to ma się ku końcowi, że lumpenburżuazja roztopia się w całej masie burżuazji, łącząc się z dawniej istniejącymi warstwami kapitalistycznymi.

Nowy stop klasowy zachowa jeszcze na dłuższy czas pewne cechy jurności, które wniosła lumpenburżuazja. Ale odrębność jej zniknie i nieubłagany czas rzuci na ten epizod dziejowy zasłonę zapomnienia.

Nie poruszamy tu zupełnie zagadnienia dalszych perspektyw tej klasy społecznej w naszym ustroju. To oddzielny, bardzo ciekawy temat. Obie partie robotnicze nie ukrywają bynajmniej celu, do którego dążą, mianowicie do ustroju socjalistycznego. W przyszłej Polsce socjalistycznej nie będzie wyzysku człowieka przez człowieka, nie będzie klas społecznych, których zasadnicze interesy znajdują się do siebie w nieprzejednanej kolizji. Nie wiemy jeszcze, jak i kiedy cel ten zostanie osiągnięty. Jedno jest pewne, że obie partie robotnicze pragną cel ten osiągnąć na drodze pokojowego rozwoju, bez wstrząsów i kataklyzmów, bez wojny domowej i przelewu krwi.

Z drugiej strony nie ulega kwestii, że w nowej sytuacji polityczno-gospodarczej, w której dla prywatnego kapitału otwiera się szeroka droga pokojowa, działalność w ramach ustroju ludowo-demokratycznego burżuazja będzie mnożyła swe bogactwa. A póki istnieją warunki, z których nieustannie rodzą się na nowo kapitalistyczne stosunki wytwórcze, dopóty nie mogą być wykluczone dążenia elementów burżuazyjnych do restauracji kapitalizmu.

Tymczasem jednak otwiera się okres pokojowego współżycia sektorów uspołecznionych z prywatno-kapitalistycznym. Do póki władza w państwie należy do ludu, dopóki do państwa ludowego należy rosnąca potęga kluczowych pozycji w gospodarce narodowej, — dopóty pokojowe współistnienie jest możliwe, dopóty wszelkie próby restauracji kapitalizmu skazane są na fiasko.

Aleksander Szpakowicz

ADAM WAŻYK

WIERSZE WYBRANE

z portretem autora

1947

Stron 125

cena zł 240

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„C Z Y T E L N I K”

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

„K S I A Ź K A”

Jerzy Borejsza — Hiszpania

z wstępem prof. Zygmunta Czarnowskiego, wydanie drugie uzupełnione.

Stron 286,

cena zł 300.—

Historia Hiszpanii od roku 1873 do chwili rewolty generalów w 1936 roku i wynikłej stąd wojny domowej, Historia ta ma ujęcie przede wszystkim społeczne i gospodarcze, nie zaś wyłącznie polityczne.

„K S I A Ź K A”

PAWEŁ HERTZ

S E D A N (III)

(Ciąg dalszy)

Dni mijają szybko. Wreszcie zbliżyła się data przyjazdu stryja Hieronima zakomunikowana mi poprzednio w liście ojca. Po stanowilem, że odwiedzę stryja, zresztą moja samotność domagała się już krótkiej przerwy, a wizyta u Hieronima nie groziła żadnymi towarzyskimi konsekwencjami i nie nakładała żadnych obowiązków, gdyż stary pan miał spędzić w Wiedniu kilka zaledwie dni.

Droga od ratusza, obok którego mieszkałem, do hotelu, gdzie zatrzymywał się zazwyczaj w tym mieście Hieronim, nie była daleka. Wiodła obok dwóch budynków muzealnych i kamiennego cokołu z Marią-Teresą, to też część tej drogi znalazłem na pamięć. Resztę przebyłem z trudem, wypytując o kierunek przechodniów.

Była dziesiąta rano, gdy wchodziłem na pierwsze piętro po wyłożonych zrudziatym suknie schodach. Ale w pokoju wskazanym mi przez portiera, od którego dowiedziałem się, że Hieronim przyjechał poprzedniego dnia wieczorem, nie było nikogo. Zszedłem na dół, napisałem kilka słów na karteczce, oddałem ją portierowi i ruszyłem w drogę powrotną. Szedłem powoli, rozglądając się uważnie, aby zapamiętać te ulice, na które miałem powrócić, jak to napisałem na karteczce, tego samego dnia po południu. Gdy doszedłem do Opery, uwagę moją zwróciła wielka witrażna. Podszedłem bliżej i ujrzałem, że witraż jest zarzucona prospektami Niemieckiego Biura Podróży. W głębi wisiała kolorowa mapa Niemiec, a na niej drobne, symboliczne rysunekki wyobrażały godne zwiedzenia miasta lub ważne ośrodki przemysłowe i turystyczne. Zwróciłem powoli wzrok ku lewemu brzegowi mapy, tam, gdzie płynął Ren, pomyślałem bowiem, że gdy wiosna stanie w pełni, mógłbym odbyć romantyczną i pouczającą podróż z biegiem tej rzeki. Ale zapewne spojrziałem zbyt gwałtownie w lewo, gdyż zamiast niebieskiej linii, oznaczającej zazwyczaj rzekę, zobaczyłem krawędź mapy, pokrytą maleńkimi chorągiewkami ze swastyką.

W owym czasie nie zajmowałem się zupełnie polityką, a świadomość, która każe mi porzucić sanatorium, dysputować z doktorem W. i pozostawić mu w biurku krótki zarys historii gospodarczej mojej rodziny, wynikała jedynie z moich osobistych doświadczeń (wówczas wydawały mi się one doskonale odizolowane od tego wszystkiego, co się w świecie działo), a bardziej jeszcze — z potrzeby odnajdywania przyczyn dla objawiających się skutków.

Poza mną i poza moją świadomością działo się w tych latach wiele i przypuszczam, że historia jakoś wpływała jednak na moje postanowienia i myśli. Byłem w zdarzającej się często w owe lata sytuacji, która pozwalała nie zdawać sobie z tego wpływu sprawy.

Nie wiem, czy było to szczęśliwe, ale wiem, że tak było. Pomyślałem niechętnie o chorągiewkach ze swastyką i ruszyłem dalej. Podróż po Renie zamknięta w czworoboku chorągiewek z czarnym znacznikiem pośrodku, wydała mi się mało pociągająca, choć właściwie nie wiedziałem nawet dlaczego. Ostatecznie czarne napisy na wszystkich murach Rzymu czy Mediolanu nie odstraszyły mnie od oglądania obrazów i architektury. Turyści, którzy bywali we Włoszech jeszcze przed „marszem na Rzym“ twierdzili, że nowy system udoskonalił i ułatwił podróże po tym półwyspie. W maju pojadę w reńską podróż — pomyślałem, wchodząc na plac, zamknięty z dwóch stron gmachami muzeów. I nie namyślając się wiele wszedłem po kamiennych schodach; nie sprawdziłem, czy są pęknięte. Minąłem przedsionek i dwa korytarze, zmierzając w kierunku sali, gdzie wisiało flamandzkie płótno, przedstawiające wnętrze z lustrem, w którym odbijał się świat spoza obrazu. Chciałem czym prędzej na nie spojrzeć: mogłem bowiem, patrząc na nie, dowolnie przesunąć spojrzenie ku ramom: świat spoza obrazu nie pokazywał swastyk, lecz tylko pochyłe dachy flamandzkiego miasteczka.

Ale jakież było moje zdziwienie, gdy po środku sali, oświetlonej z góry, ujrzałem wielkie, szklane gabloty. Była to kolekcja rzadkich motyli i chrząszczy. W tej chwili zrozumiałem, że pomyliłem budynki, stosując automatycznie zasady, które obowiązywały w drodze z mojego hotelu do pałacu, ale które zawodziły, gdy drogę tę, jak teraz, odbywałem w stronę przeciwną. Postanowiłem jednak zwiedzić muzeum hi-

storii naturalnej, choć nie nie było mi w owych latach bardziej obce i nie budziło we mnie mniej zainteresowania niż historia naturalna. Przyrody nie lubiłem, wieś z jej wszystkimi odgłosami — od piania kogutów przed świtem do cichnącego powoli ujadania nocnych psów — była mi obca, a nawet wroga. Zapewne nie odróżniałem wówczas wierzby od jabłoni. Wszystko, co nie zostało zorganizowane ręką ludzką, co istniało niezależnie od człowieka i nie podlegało jego woli, mieszało moje szyki i nie mieściło się w moim wąskim świecie.

Brnąłem zakłopotany pomiędzy szpalerem zakurzonych witrzyn w których spoczywały czeligidne szczątki paleontologicznych zwierząt lub stały słoje pełne formaliny, gdzie zawieszono nieruchomo trwały i rozgwiezdy i kraby. Uderzała mnie ta wielka różnorodność form, jakie przybierało życie i kto wie, czy mimowolna wizyta w muzeum historii naturalnej nie wywariała na mnie większe wrażenia, gdyby nie to, że wchodząc do okrągłej sali, w której ustawiony był mamut, a raczej jego wypchana rekonstrukcja, ujrzałem stryja Hieronima, spoglądającego w zamiśnieniu na matowy kiel zwierzęcia.

Hieronim stał z melonikiem w rękę, w rozpiętym rągliem, zasunawszy grubą palec lewej ręki między kamizelkę i labruszek zegarka, niedaleko miejsca, gdzie bije serce. Był bez laski, którą zostawił zapewne w szatni. Słychać było szum niewielkich, ukrytych pod podłogą kaloryferów.

O czym myślał stryj Hieronim? To pytanie tak mnie nagłe zainteresowało, że nie miałem nawet czasu na zdumienie wobec nieoczekiwane spotkanie i jednocześnie przestalem żałować mojego ulubionego flamandzkiego wnętrza, porzuconego wskutek lekkomyślnej pomyłki dla rozgwiezdy w formalinie i dla pozostałości szkieletów, wydobytych starannie ludzką ręką z warstw geologicznych. Na gładko wygolonej twarzy Hieronima pojawił się blask wesołości, stawał się coraz wyraźniejszy, aż wreszcie skryształizował się na wargach. Po chwili blade i zmięte wargi starego pana uchyliły się niby drzwi eleganckiego domu, gdy gospodarz pragnie ukradkiem wypuścić kompromitującego gościa. Hieronim polknął blask wesołości i twarz jego znów przybrała wyraz powagi. Ale blask oświetlał go teraz widocznie od wewnątrz, gdyż głowa Hieronima poczęła chwiać się komicznie, potem zadręgała nagle lewa ręka, potem zauważyłem, że nie naganie zaprasowane kanty jego sztucznych spodni drżą bez powodu, jakby potrącone wiatrem. Teraz dopiero zorientowałem się, że to wszystko nie ma nic wspólnego z wesołością, że ruch warg nie był uśmiechem, lecz wyrazem bólu, a stryj Hieronim patrząc na mamuta, czuje przedsmak śmierci.

Hieronim z wyciągniętą przed siebie prawą ręką szedł niby ślepiec ku niszy, gdzie stała okryta pluszem ławka. Lewą rękę przyciskał teraz wyraźnie do serca. Namyślałem się przez chwilę, czy nie podejść do niego i czy mu nie pomóc, ale postanowiłem nie wtrącać się do spraw jego serca; gdyby atak miał go powalić tu, w obliczu mamuta — myślałem spokojnie — to nawet byłoby dość efektowne. Hieronim jest też z innej epoki geologicznej. Ujrzałem okiem pamięci witraż Niemieckiego Biura Podróży i listwę mapy, pokrytą chorągiewkami ze swastyką.

Tymczasem stryj, siedząc na kanapie, wykonał najpierw gest dość naturalny, polegający na przyciśnięciu do starczej pierśi grubej dewizki wraz z kieszonką kamizelki, w której, jak to pamiętałem z dzie-

ciństwa, spoczywał gruby, złoty Patek. Wydawało mi się, jak gdyby Hieronim pragnął wtłoczyć w to miejsce, gdzie słabo i leniwie biło serce, precyzyjny mechanizm szwajcarskiego zegarka pierwszorzędnej marki i przypomniałem sobie, że przed kilkoma tygodniami porównywałem chód mojego własnego zegarka z biciem serca na korzyść mechanizmu. W świetle tego wspomnienia gest Hieronima nabrał dla mnie znaczenia symbolicznego. Minęło kilka chwil w zupełnej ciszy. Nawet kaloryfery przestały grać. Byłem pewien, że gdybym się zbliżył, usłyszałbym trzy nieskoordynowane rytmy: chód zegarka, bicie serca i słaby oddech, który nie mógł nawet zagłuszyć dwóch poprzednich rytmów.

Po chwili ręka Hieronima odpadła od kieszonki, poblądziła w prawej kieszeni marynarki i wydobyła srebrne pudełeczko. Druga ręka zdjęła pokrywkę i podtrzymała pudełko. Z kolei wielki i wskazujący palec zagłębił się w srebrze, wyciągnęły stamtąd płaską, białą pastylkę, a następnie szybkim ruchem wrzuciły ją między rozchyłone wargi. Był to znak, że śmierć odeszła, pogroziwszy zaledwie Hieronimowi palcem. Przeczekałem jeszcze kilka minut, póki stary pan nie odzyskał pełni władzy nad swoim ciałem, po czym wyszedłem z mojego prymitywnego ukrycia. Zbliżyłem się powoli ku wnęce, w której siedział Hieronim; gdy mój słabo zarysowany cień wszedł w pole widzenia jego oczu, gdy z kolei to wrażenie optyczne połączyło się z reakcją na akustyczne efekty moich kroków, stary pan zorientował się, że prócz niego i mamuta jest w tej sali jeszcze ktoś trzeci i odwrócił się w stronę, skąd nadciągał cień i dźwięk. A ja stałem właśnie przed nim w odległości dwóch kroków.

— Adamie! — zawołał z widocznym wysiłkiem Hieronim. Udawał jednak pewność głosu, nie wiedząc, że widziałem go przed chwilą słabego jak niemowlę. Powitanie nasze było krótkie, dyskretne, choć serdeczne, jak to zazwyczaj bywa w tej sferze, gdzie od dzieciństwa uczono ludzi powściągliwości uczuć. Czy kto bowiem widział hanzeatyckiego patrycjusza pogrążonego przez tydzień w melancholii lub w wielkiej, przerywającej normalny bieg życia, radości? Patrycjat w dobie swojego rozkwitu przechował pewną surowość i powściągliwość obyczajów. Późniejsze mieszczaństwo naśladowało dobre wzory. Ale równowaga mojego pokolenia była już zachwiana. Dawne, dobre formy nie odpowiadały złej rzeczywistości, nieład świata w niczym nie przypominał powolnie toczących się dziejów wzrostu solidnej cywilizacji wielkich kucepów i armatorów. Powodów tego zachwiania równowagi szukaliśmy w nas samych, jak ślepcy, którzy ostrożnie obmacują przedmiot najbliższy, ale nie wiedzą nic o kształtach rzeczy oddalonych od ich rąk. W pokoleniu Hieronima, mimo wszelkich klęsk, jakie na nie spadały, spotykało się jeszcze ludzi, którzy udawali, że nie się stało, ale my zdawaliśmy sobie sprawę, że to drobne oszustwo wyda się prędzej czy później. Nie widzieliśmy tylko, kiedy to się stanie i nie znaleźliśmy tej siły, która zdemaskuje prawdziwy mechanizm naszego czasu. Dlatego nie potrafiliśmy być spokojni, a czas upływał w przeplatanej radościami melancholii i w nieprzerwanej niczym niewiedzy.

Opowiedziałem Hieronimowi o liście ojca, o tym, że byłem w hotelu, przemilczałem jedynie traf, który mnie sprowadził do tego muzeum, twierdząc, że bywam tu często.

— Cóż cię tu sprowadza? — pytał bawczo Hieronim. — To ciekawe — ciągnął, wspierając się na moim ramieniu, gdy

od progu rzucaliśmy ostatnie spojrzenia na rekonstrukcję mamuta — wiesz, ile razy jestem w Wiedniu, zawsze tu przychodzę. Pomyśl, taki mamut, zginął przed tysiącami lat, a przecież go wygrzebali, ustawili, pokryli sierścią, wstawili kły i wygląda teraz jak żywy — westchnął i zamysłił się.

— Jak się stryj czuje? — zapytałem, by zmienić temat rozmowy. Stary pan spojrzął na mnie podejrzliwie i powiedział:

— Doskonale, mój drogi, doskonale. — Wręczał właśnie napiwek portierowi, który podał mu laskę z kościaną gałką. Hieronim puścił moje ramię, opierał się teraz na lasce i tak wyszliśmy z muzeum.

Szliśmy powoli, rozmawiając o sprawach rodzinnych, o pogodzie, o moich planach wiedeńskich. Mijał się plan Lügera. Nagle stryj zatrzymał się i powiedział, wskazując laską cokół na którym stał kamienny mąż stanu.

— Lüger! Ty tego nie pamiętasz, ale to był rozsądny człowiek. To może dziś jest przestarzałe. Chociaż, kto wie... — zawałał się — Hitler był pilnym słuchaczem jego przemówień. A tu mamy dziś Schuschnigga i front ojczyzniany... A mogło być inaczej! W 34, jeśli by nie zlikwidowali komunistów...

— To nie byli komuniści — odparłem, przypominając sobie z trudem jakąś broszurę o wiedeńskich wypadkach. — Zaledwie socjalistyczna gmina miasta Wiednia. Chcieli niewiele: może jakiejś łagodnej reformy, ale na pewno bardzo łagodnej. Nie interesuje się polityką, ale Hitler mi się nie podoba.

Hieronim spojrzął na mnie uważnie. — Ja też się nie interesuję. Ale skąd ci do głowy przyszedł Hitler? Jeśli nie reformy, to Hitler! Są przecież inne, pośrednie formy. Wam, młodym, to dobrze, was to wszystko nie nie obchodzi, byleby na wszystko mieć. Was nie obchodzą ustroje. Mnie też nie obchodzą. Ale ja mam tu domy! — zawołał nagle. — Te moje wiedeńskie domy nie zniosłyby gospodarki socjalistycznej, gminy miasta Wiednia ani tych łagodnych reform. Wiesz, co ci powiem? Nie rozumiem, jak ty, jak inni, możecie tak żyć! Przecież wy nie macie pojęcia o tym, co się na świecie dzieje! Rozumiem, że to was nie obchodzi, ale zajmujecie się przynajmniej waszym majątkiem, który wam zostawiamy. Nie, to nie do wiary — taka lekkomyślność! — irytował się Hieronim.

— Wydaje mi się, że rozmyśliłem nie interesujemy się tym wszystkim. Jeśli by wniknąć szczegółowo, okazałoby się, że można odkryć wiele niemylnych spraw — odparłem poważnie. — Dowiedzieć się, że nie jesteśmy panami samych siebie, że prócz naszych zamiarów i chęci, istnieją jakieś prawa, które regulują bieg naszego życia — sprawiają to, że dziedziemy domy i to, że możemy je utracić...

Hieronim miał teraz wygląd stroskany, namyślał się nad czymś i widać było, że pragnie mi coś zakomunikować. Wszliśmy do kawiarni. Po chwili siedzieliśmy przy stoliku, rozdzieleni tylko powierzchnią marmurowego blatu.

— Widzisz — zaczął Hieronim — w ostatnich latach sprawy komplikują się co raz bardziej, sytuacja na kontynencie staje się niepewna. Lękam się przewrotów — z prawa i z lewa. Bez względu na ich kierunek, pieniądź czuje się niepewnie. Jak wiesz zapewne, nasza fabryka — słowo „nasza“ wypowiedział tak, iż poczułem się udziałowcem — już od wielu lat nie znajduje się w rękach naszej rodziny — Hieronim znów podkreślił zaimek dzierżawczy, jak gdyby zachęcał mnie do uważnego słuchania tego, co mówi, licząc zapewne, że potrafię połączyć wspomnienia podróży, obrazów i teatralnych łóż z fabrycznymi korpusami, które wymykały się z naszych rąk. — Wykupiono ją od nas. Mamy naprawdę udział, ale jesteśmy w mniejszości — widać było, że stryj dobiera słów, unikając terminologii gospodarczej, po to, by udostępnić mi obraz naszej sytuacji rodzinnej w całej jej chłodnej rzeczywistości. — To, co nam zostało, to trochę gotówki, nieźle ulokowanej, docho- dy z fabryki, wreszcie nieruchomości... do my... — sprecyzował z namysłem. — Jeże-

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

„KSIAŻKA“

Jan Dembowski — Nauka Radziecka

Stron 238, zł 400.—

(W wyczerpujących i barwnych szkicach informuje prof. Dembowski czytelnika polskiego o życiu kulturalnym Związku Radzieckiego w zakresie nauk biologicznych. Każdą z opisywanych instytucji zwiedził prof. Dembowski osobiście, a powszechnie znane i szanowane nazwisko autora jest gwarancją obiektywizmu jego sądów.)

Książka prof. Dembowskiego stanowi cenny wkład do zbliżenia kulturalnego polsko - Radzieckiego.)

„K S I A Ż K A“

li myślisz, że twój ojciec coś ma, to się bardzo mylisz — powiedział teraz surowo — część dochodu z fabryki, niewielką rentę i dochód z domów. Właściwie życie już ponad stan! — dodał tonem wyrzutu. — Domów mamy kilka — tu, w Wiedniu i w Paryżu. Te wiedeńskie domy nie są pewne, to znaczy, że dochód z nich nie jest pewny. Zamrożone pieniądze, zablokowane konta... — mówił już jak gdyby do siebie. — Przyjechałem właśnie, żeby te domy sprzedać! — rzucił nagle z triumfem. Czekając na błysk w moim oku na znak, że rozumiem. Ale ja milczałem.

— Nie podoba mi się to, co się tu dzieje — ciągnął Hieronim, rozglądając się wokół, jak gdyby ganił kawiarnię i kelnerów, zajętych rozmową pod lustrem. — Socjalistyczna gmina miasta Wiednia... No, to nie było groźne, to by i tak się nie mogło utrzymać w środku Europy.

— Więc czegoś się stryj obawia? Przecież o rewolucji w Austrii nie ma mowy.

— Mój drogi, — powiedział łagodnie Hieronim, — Czy ty w ogóle nie czytasz gazet? Choćby tylko po to, żeby wiedzieć, jak długo jeszcze będziesz mógł się waleśać bez celu i sensu od miasta do miasta — głos jego przechodził teraz stopniowo od tonu łagodnej perswazji do ostrej nagany.

— Nie, nie czytam, — przyznałem ze skruchą. — Mówiłem już stryjowi, że nie cierpię polityki.

— Za to lubisz rozmyślać o rzeczach pięknych, co? — ironizował stary pan. — Przyznaj się, że lubisz?

— Tak, ale... — broniłem się słabo, przeczuwając do czego zmierza Hieronim, który zachował w sobie hanzeatycki instynkt realizmu, jaki we mnie wygasł już do cna.

— No, więc jeśli tak, to wiesz, że gdyby twój ojciec nie dostawał miesięcznie należnej mu części z tych domów i z fabryki, to musiałby zajmować się mniej pięknymi rzeczami, niż psychoanalizy kuracje. — Hieronim uspokoił się, tyknął nieco mocnej kawy dla podtrzymania serca i ciągnął beznamiętnie jak fizyk, który demonstruje doświadczenie:

— Mimo pozorów stabilizacji ten kraj jest niepewny. Tu za rok pieniądze będą bez wartości, nie będzie ich można stać wydestać. Mam konto w Berlinie. No i co z tego? Nie mogę ich nigdzie przekazać. A czy tam można żyć? Nawet u Kempnińskiego smażyć wszystko na margarynie. Życie straciło cały urok, rozumiesz, brak mu urody, swobodnej gry finansów — szeptał stary pan.

— A we Włoszech? — zapytałem.

— Ach, to zupełnie inna sprawa. To jest południowy naród. Mussolini chce budować cesarstwo rzymskie! Komu to szkodzi? To nawet ładne. Ale tu nie wejda Włosi — Hieronim pochylił się nad stolikiem, jak gdyby chciał mi zwierzyć wielką tajemnicę.

— Skąd stryj o tym wie?... — zapytałem gwałtownie, przypominając sobie witrinę Niemieckiego Biura Podróży i czerwone chorągiewki z czarnym, przelamanym krzyżem.

— Ja nic nie wiem. To giełda wie... — odpowiedział słabym głosem, jak człowiek, który z wielkim wysiłkiem zapobiegł przed chwilą jakiejś katastrofie. I jak gdyby kończąc rozmowę, odchylił się nieco wraz z krzesłem, gwizdząc przy tym z cicha kilka taktów z „Orfeusza”. Wargi jego były suche i zwiędłe, to też miejscami gwizdanie przechodziło w syk.

Melodia „Orfeusza” wypłynęła jak wąski potoczek wspomnienia. Pomiędzy brzegami, na chłodnej i szklanej powierzchni, płynął niby zerwany z drzewa liść wizerunek dzieciństwa. Ale gdy złączone ze wspomnieniem fotografii mojej matki melodie „Orfeusza” były motywy samotności, któremu przysłuchiwałem się w dzieciństwie z melancholijną rezygnacją, teraz, w zwiędłych wargach stryja Hieronima owa melodia nabrała innego znaczenia i odkryła przede mną fragment prawdy, do której stopniowo miałem się zbliżyć w latach następnych. Muzyczny motyw mego dzieciństwa, które było tylko jednym z wielu podobnych, stał się w wargach stryja Hieronima, wypowiadających z tą samą harmonią słowo „giełda” i słowo „domy”, częścią gasnącej rzeczywistości mieszczańskiej, która mnie uformowała z tą samą cierpliwością i precyzją z jaką dobra kucharka ugniata słodkie ciasto. Wszyscy, którzy bywali w dobrych restauracjach i na balach dobroczynnych, wszyscy, którzy jeździli na wagnerowskie festiwale do Bayeruth, a mozartowskie do Salzburga,

którzy mieszkali w pięknych dzielnicach, pod wysokimi sufitami secesyjnych kamienic, ozdobionych kariatydami, lub dźwigającym ziemię Atlasem — byli złączeni ze sobą nierozdzielnie słowami: „giełda” i „domy”. Ten łańcuch nie był ze stali, ani nawet, choć można by to podejrzewać, ze złota. Był to po prostu łańcuch logicznych i nieubliżanych zdarzeń, w którym pierwsze ogniwo świeciło nadzieją, niby wypolerowana miedz, a ostatnie było emalowane czarną żalobą klęski. Ta wspólnota początków działania i końca obejmowała wszystkich i wszystko, co poruszało się w wąskim kręgu, zakreślonym między strefą bogactwa i nędzy, pomiędzy zoną „mieć” i zoną „nie posiadać”. Pomiędzy tymi zonami nie było żadnego no man's landu, żadnej pustyni na którą można by było uciec. Dlatego zawodziła nas zawsze nadzieja samotności. Za to mieliśmy dość pieniędzy, by nabyć na własny użytek złudzenie takiej samotności. Ale to była tylko jedna strona medalu.

Hieronim spojrział na zegarek zawieszony na grubej dewizce, przywołał kelnera, uderzając rubinowym sygnetem w metalową popielniczkę, strzepnął popiół z kolana i powoli wstał, opierając się na lasce.

— Muszę już iść, mój drogi, chcę załatwić tę transakcję jak najprędzej. Zresztą nie mogę tu długo siedzieć. Trzeba pilnować interesów! — roześmiał się. — Ktoś przecież musi na was pracować, żebyście mogli udawać, że nie macie z nami nic wspólnego, że brzydzicie się pieniędzmi i że zajmują was tylko książki i obrazy.

Zapinałem właśnie ostatni guzik u palta i ręka moja zatrzymała się w okolicy serca. Lustro wiszące naprzeciw odbijało moją pozę, która zdawała się mówić: „Ja? Ależ ja nic nie wiem! Jestem niewinny! Nie mam z tym nic wspólnego. Zapewniam was, że nie mam z tym nic wspólnego”. Kelnerzy uśmiechali się domyślnie i pobłażliwie.

Powoli mijaly dni i tygodnie późnej zimy i wczesnego przedwiośnia. Hieronim odjechał już dawno po załatwieniu wszystkich formalności, związanych ze sprzedażą domów i po wykonaniu mnóstwa skomplikowanych posunięć, dzięki którym pieniądze uzyskane ze sprzedaży mogły zostać przekazane do jednego z tych solidnych i bezpiecznych banków londyńskich, gdzie w owe lata gromadziły się ostatki hanzeatyckich fortun.

Jak dawniej odwiedzałem galerię, rzadko bywałem w znajomych domach, gdzie przyjmowano mnie dlatego, że byłem siostrzeńcem Hieronima, synem mojego ojca, a wnukiem dziadka — wszyscy oni mieli tu świetne i zadawione kontakty w rodzinach bankierskich i fabrykanckich. Ale bywałem rzadko, motywując brak systematyczności z jaką składałem te wizyty pracą naukową, której oczywiście nie uprawiałem.

Powoli zapomniałem o tym nurcie niepokoju, który na pewno przeze mnie przepływał, czy to wtedy, kiedy opuściłem sanatorium, podrzucając jednocześnie doktorowi W. klucz do analizy przyczyn mojej neurastenii, czy wówczas, gdy ujrzałem w kawiarni, siedząc naprzeciwko gwizdzącego motywu z „Orfeusza” Hieronima, jedną stronę medalu rzekomej samotności. Rzecz dziwna, choć byłem już ciekawym, nie chciałem jeszcze odwracać tego medalu.

W końcu lutego 1938 roku w witrynie Niemieckiego Biura Podróży wisiała jeszcze wciąż ta sama mapa, na której szukając niebieskiego Renu tak niepotrzebnie zwróciłem wzrokiem o czerwone chorągiewki ze swastyką. Chorągiewki — papierowe i drobne — pod wpływem wilgoci musiały zapewne wyblaknąć, bo oto pewnego dnia ku mojemu wielkiemu zdziwieniu znikły z listwy okalającej mapę Trzeciej Rzeszy. Nie zwróciłem na to nawet uwagi, gdybym w owe dni, zachęcony okrzykami gazeciarzy, nie zaczął czytać pogardzanych do niedawna gazet. Być może zresztą, że okrzyki gazeciarzy odbi-

ły się tylko echem o powierzchnię tego nurtu niepokoju, który przecież przepływał przeze mnie, starannie się kryjąc wśród statycznych wspomnień. Powoli płynął marzec. Tego dnia wstałem później niż zwykle. Mleczne światło przedwiośnia z trudem przebijało ciężkie, aksamitne kotary. Na ulicy leżały brudne wysepki śniegu, zamieniając się ku południowi w błoto. Czarny strumyczek płynął z wolna w tym miejscu, gdzie jezdnia ulicy ustępowała miejsca chodnikowi. Nie był to dzień wesoly ani smutny, lecz taki, jak zawsze bywa o tej porze roku w krajach otoczonych górami. Natura jest obojętna dla spraw ludzkich bez względu na to, czy sprawy te przybierają obrót zły czy dobry. To tylko my sami w zależności od naszych myśli nadajemy tej naturze wyraz radosny lub smutny. Ta sama gwiazda mówi skazańcowi „dobranoc” i ta sama gwiazda wita zakochaną parę. Ale najtrudniej zobaczyć w gwieździe tylko gwiazdę i nigdy nie tracić tej wiedzy — choćby się było skazańcem albo zakochanym.

Kiedy doszedłem do rogu ulicy, ujrzałem zamknięte na glucho żaluzje kiosku, w którym ostatnio codziennie kupowałem gazetę. Ruszyłem dalej zdziwiony, po drodze spotykałem przechodniów, było ich nie wielu. Minąłem plac, gdzie stał kamienny cokół z Marią-Teresą, zbliżyłem się ku Operze, zatrzymałem się przed wystawą kapelusznika, aby przyjrzeć się śmieszemu, jedwabnemu cylindrowi o wielkich kresach i spiczastej główce, jaki zdobył niegdyś głowy elegantów minionego cesarstwa, które nie o wiele drogi stąd spoczywało w Krypcie Kapucynów. Spojrzałem na sąsiednią witrinę Niemieckiego Biura Podróży i zwróciłem uwagę na listwę, mapę, ozdobioną malutkimi chorągiewkami ze swastyką. Ale co mnie najbardziej zdziwiło w tym naturalnym, zdawałoby się, obrazie, to brak linii granicznej pomiędzy Bawarią i Austrią. Dunaj przepływał swobodnie koło Passawy i wolna była droga od Bayeruthu do Salzburga.

Zrobili z pewnością nową mapę — pomyślałem — i zapomnieli zaznaczyć granicę... I nagle usłyszałem dwa dźwięki — jeden podobny do brzęku owadów, drugi, jak gdyby ktoś z niesłychaną wprawą uderzał jednocześnie w dwa klawisze, w basie i w wiolinie. Ten pierwszy dźwięk płynął z góry, ten drugi — z mglistego wawozu ulicy. Zadarłem głowę, ale nie udawało mi się nic dostrzec. Ruszyłem szybko w kierunku skąd dobiegał drugi dźwięk. Po chwili otoczył mnie tłum przechodniów. Szli przeciwko mnie, w milczeniu. Z trudem torowałem sobie między nimi drogę. Wreszcie koło trzeciego, czy czwartego skrzyżowania tej długiej ulicy, fala ludzka powoli opadła. Po chwili zostałem sam: wsparty o latarnię ocierałem pot z czoła fularową chusteczką. Dźwięk wzmagal się nieustannie, był już bardzo bliski, we mgle odróżniałem jakiś wielki, czarny kształt, który poruszał się niezbyt szybko. Po chwili z mgły wynurzyła się na długim kiju wielka, czerwona chorągiew ze swastyką. Trzepotała w wiosennym wietrze i wyglądała jak sieć, którą za chwilę zarzuci pilny rybak. W ślad za nią ujrzałem czoło ogromnego czołgu, wreszcie z hukiem przetoczył się ten leniwy i ciężki zwiastun klęski tuż przed moim nosem. Na czołgu siedzieli młodzi chłopcy w mundurach, jeden z nich wyglądał jak student z Bonn czy z Erlangen w czasie wycieczki. Trzymał w ręku złożony plan miasta. Obok inny w okularach, z aparatem filmowym u lewego szkla, celował starannie i systematycznie obiektywem w moją stronę. Być może, nie chciał uwiecznić pustej wiedeńskiej ulicy, być może był mu potrzebny na zdjęciu choćby jeden świadek klęski. Jeśli więc siła światła obiektywu była dość duża, a błona filmowa odpowiednio czuła, pozostałem tak zapewne na zdjęciu — zastygły, nieruchomy, wsparty o latarnię gazową, trzymając u czoła fularową chusteczkę.

Tej nocy pociągi idące w stronę szwajcarskiej granicy były przepelnione. Częste

postoje, rewizje dokonywane przez młodych chłopców ze swastyką na okalającej rękaw opasek. Mój cudzoziemski paszport chronił mnie przed ich natręctwem. Przez współczucie dla moich współtowarzyszy podróży, którym ta jedna tylko noc pozostała na ucieczkę, udawałem, że nie mówię i nie rozumiem po niemiecku. Było ich kilku, widocznie krewnych, a może przyjaźni. W ciemności wagonu instruowali się wzajemnie, dokumenty mieli fałszywe, pieniądze przewozili nielegalnie. Nie pozostawało mi nic innego, jak podkreślać swoją nieznaną języka i sytuacji. Za Innsbruckiem wyprowadzono ich z wagonu. Myślałem, że wrócą.

Pociąg ruszył znowu. Byłem zupełnie sam. Wyrzuciłem na korytarz, w drugim końcu kiwał się u okna wysoki, chudy Anglik. Poznałem go po niedbale zgniecionej marynarce, krótszej niż te, jakie nosi się na kontynencie.

Dopiero teraz zacząłem się zastanawiać nad przyczyną, która mnie skłoniła do tak pośpiesznego wyjazdu. Byłem obywatelom obcego kraju, nie interesowałem się polityką, czułem co prawda niechęć do nowych władców Austrii, ale nie potrafiłem sformułować powodów tej niechęci. Palili księżki... to prawda. Obozy koncentracyjne? Ale gdzież ich nie ma? Być może, że ten twardy kurs jest przejściowy. Słyszałem, że polepszyli warunki pracy, zlikwidowali bezrobocie, okiełznali wielki kapitał. Swobodna gra finansów, przypomniałem sobie westchnienie Hieronima. Tak, to sprawa zamknięta, skończona. Zresztą, co to mnie wszystko może obchodzić? Hieronim jednak jest mądry, jeśli to przewidział i sprzedał domy. W miarę jak starałem się usnąć, nurt niepokoju coraz to silniej uderzał o brzegi mojej pamięci i wyrzucał na nie wspomnienia i obrazy. Układały się, jak muszle na piasku, nachylałem ku nim ucho, ale nie słyszałem nic, prócz jednostajnego szumu. Siłą skojarzeń, tak niegdyś wzgardzonych przeze mnie w gabinecie doktora W. ujrzałem ponownie ów medal samotności, który rozpaniętywałem przed kilkoma tygodniami w kawiarni. Wiedziałem, że gdybym mógł go teraz odwrócić, ujrzałbym wyrytą na jego odwrotnej stronie krótką odpowiedź na moje wszystkie pytania. Ale nie — wolałem jeszcze, zasypiając tuż nad szwajcarską granicą, myśleć przez chwilę, że jestem wolnym człowiekiem, którego to wszystko nie obchodzi, który odjeżdża skąd i dokąd chce. Przed samym zaśnięciem pochwaliłem jeszcze los za to, że mnie zaopatrzył w cudzoziemski paszport i w odpowiednią ilość pieniędzy, które można było dowolnie przekazać z londyńskiego banku do Paryża, dokąd prowadziła droga mojej uliczki przed ogromnym czołgiem ze swastyką.

Obudziłem się na granicy. Przez okno widziałem, jak cywili z opaskami i niemiecka policja graniczna eskortuje kilku niedoszłych emigrantów. Otworzyłem neseser, skropiłem fularową chusteczkę wodą kolońską i przetarłem czoło. W przedziale było duszno i wisiał słodki zapach drobno krajanego, jasnego tytoniu. Otworzyłem okno. Pociąg właśnie ruszał. Poprzez manewrowe gwizdki lokomotywy i syk pary usłyszałem wielką muzykę. Z megafonu, który zapowiadał dotychczas nadejście i odjazd pociągów płynął teraz wagnerowski tętent Walkirii. Wstrząsnął mną dreszcz, ale to zapewne tylko dlatego, że już prawie świtało i wiał ostry, zimny wiatr od gór.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Paweł Hertz

TREŚĆ NUMERU 14-GO:

Jan Kott — Kariera kupca. Ewa Fiszer — Tadeusz Kubiak — Anna Pogonowska — Jerzy Miller — Wiersze. Mirosław Orłowski — Bilans Gospodarczy 1946 r. Ryszard Matuszewski — Plan i wykonanie. Karol Szymanowski — O muzykę do „Sulkowskiego”. Paweł Hertz — Sedan (II). Aleksander Szpakowicz — Lumpenburżaczka. (I). Zygmunt Radek — Jarmark w Czersku. Stanisław Śreniowski — Okopy św. Trójcy. Mieczysław Drohner — Problemy organizacyjne życia artystycznego. Ewa Korzeniowska — „Na srebrnym globie”. Przegląd prasy — Korespondencja — Noty.

W Y N I K I

Ankiety Czytelników „Kuźnicy”

„Jakich dziesięć książek z zakresu literatury polskiej i obcej należy w Polsce wydać najszybciej? podamy w najbliższym numerze „Kuźnicy”

JERZY MILLER

B A S E N

Już grudzień, a nie przestajemy kopać basenów na wodę. Niemcy spodziewają się nalołów lotniczych. Rzecz sama w sobie radosna. Stoje pobrzękując łopata. Przypominam sobie niedawno powiedziane słowa Goldera:

— Wojnę zaczęliśmy kopaniem i zakończone kopaniem. Dziecko mandoliny — potrząsał łopata — skrzyżowane z karabinem rodzi wojnę.

Myszę, że Niemcom nie zależy na całości Warszawy. Żołnierza nie potrzebuje murów. Jak dom zapali się zdąży wyjść. Raczej dlatego pracujemy, bo za frontem powstała wielka organizacja dekowników. Nie chcą walczyć o nowy porządek na bezbrzeżnych równinach Wschodu. Ale w zmuszeniu nas do pracy jest także satysfakcja innego rodzaju. Niech się ci ludzie nie parzą, niech pracują w bezsensie! Co prawda jak dotąd bardziej nas przynaglali urzędnicy firmy Betonbau, której major Rudolf podarował nasze osiem godzin dnia. Oni służą i chcą się odznaczyć nawet tym, co dla majora Rudolfa — zwierzchnika sztafet sanitarnych jest po prostu zbywaniem czasu.

Łopata nie chwytą zmarzniętej ziemi. Gdy stoimy nad niedokopanym dołem, bez poruszania się, bez ochoty do udawania gorliwości, urzędnik Betonbau wścieka się i grozi skargami. Nie pomaga wyciągnięta lista. Trzebawy wszystkich oskarżyć — nikt nie wyróżnia się w niechęci do wysiłku. Patrzymy się na niebo, na sprawy pustej ulicy, czasem zgrzytnie łopata, lub zadudni kilof. Ale robota nie ruszy, bo nie podobięństwem jest walczyć z ziemią twardą, jak kamień.

To im i tak nie pomoże, myślimy wszyscy. Spoglądamy na usypisko odkryte śniegiem. Od tygodni ilość wydobytej ziemi nie wzrasta. Dół wykopaliliśmy w pierwszych dniach pracy. Teraz służą nam za osłonę od lodowatych wiatrów.

Przed nami pomnik Kopernika, nieco niżej teatr, blisko komenda policji. W ostatnich miesiącach nasilenie terroru wzrosło. Każdy skrawek Warszawy jest starannie kontrolowany. Ulice wyludniły się. Przechodzę wie, że spacer można zrobić z Pawiakiem. Obserwujemy zmiany wart i częste wyjazdy zielonych bud. Nie ma godziny, aby nie powracały patrole z kimś złapanym. Mijają nas twarze ujętych — bez kropli krwi.

Liczba zatrudnionych waha się. Gdy cywilny Niemiec z Betonbau sprawdza listy zwiększa się, gdy w niektóre dni nie przychodzi, zostaje dla przyzwoitości tylko nieliczna grupa.

Obok mnie podparty łopata stoi Foglewski. Wydaje nam się, że usypia. Twarz pochyla do ziemi. Oczy przyrymka. Czasami ktoś krzyknie:

— Fogelman! — Idą!

Wtedy otwiera oczy, unosi łopata i dzielnie zmarzniętą pokrywę ziemi równie bezzadnie, jak my. A ponieważ nikt się nie interesuje naszą pracą i nikt nie przychodzi pędzić do roboty, Foglewski powraca do dawnej postawy. Uśmiecha się w przestrzeń — to był żart, należy się uśmiechać.

Co pewien czas odrzyna sine ręce od styliska i rozgrzewa uszy. W braku chusteczki nos ociera rękawem. Trudno z nim rozmawiać — po polsku mówi źle i wstydzi się niezręcznego wystawiania. Początkowo ciekawiło nas, co to za jeden. Ciekawość nie opłaciła się. Do końca nie dowiedzieliśmy się kim był.

W naszej jednostce nie mógł się z nikim zaprzyjaźnić. Mimo, że był pośród nas — był zawsze poza nami, tak jak miejsce, w którym pracujemy — znajdując się w centrum miasta, a jednocześnie jest wyłączone z jego całości. Środowisko nasze przyjęło go dlatego, że posiadał nieodłączny warunek, łączący go z nami: brak schronienia. Nas wpisano na listę członków sztafet sanitarnych, ponieważ z wielu dróg a wydawała nam się najważniejszą. On dlatego dostał się do nas, że z wielu dróg cała ta jedna. W jaki sposób trafił do nas, przez kogo, jakie zrzędzenia losu sprawiły, że znalazł się pośród wielu ludzi człowiek, który winien pozostać w cieniu? Pytania te pozostały w obszarze domysłów. Kiedy pytano się Foglewskiego skąd pochodzi, odpowiadał wymijająco, niechętnie:

— O, ja z Białej Rusi. Koło Nobla ja mieszkał. Zresztą czas płynął i zaznajaniał nas z innymi ludźmi. Tak, jak przywykliśmy do codziennych noclegów w sztafecie, do pracy polegającej na staniu, tak w końcu przywykliśmy do jego tajemniczości, powściągliwej mowy i obcojęzycznych akcentów. W tych warunkach, w osła-

motnieniu i niebezpieczeństwie jedyną napiętność Foglewskiego stanowi alkohol. Pije z umiarem, ostrożnie, najczęściej w nocy. Poznajemy to po sztywnym chodzie nienaturalnie automatycznym. Zawsze jednakowym ruchem, bez najmniejszych odchyień rzuca się w ubraniu na ubity sienik.

Nazwisko Foglewski nie przyjęło się u nas. Czy to z powodu kruczycy włosów i twarzy bruneta odmiennej od naszych, czy też przez niezawodną zdolność wyczuwania, obojętne jakim prawidłem myślowym podana już od pierwszego dnia pobytu w sztafecie Foglewskiego nie zwano inaczej, jak Fogelman. Nie przypuszczałem, aby ktokolwiek poza Golderem na podstawie brzmienia pierwszych zgłosek nazwiska mógł utwierdzić się w mniemaniu o jego niepołączym pochodzeniu.

Na tle ciemnych murów pałacu Staszka widać jak wirują płatki śniegu. Oczy uwolnione od wszelkich obowiązków mogą wędrować — myślom wolno podążać gdzie chcą. Ręką wskazując na kilkanaście nowoczesnych domów przy ulicy Bartoszewicza.

— Widzisz Golder — mówię — zdawałoby się Europa — kawałek cywilizacji, a w rzeczywistości jeszcze jedna dysproporcja naszego świata.

Jeszcze nie opuściłem dłoni, a Golder uważa za stosowne replikować:

— Cywilizacja, ale jaka? — mówi w natchnieniu. — Dlaczego Europa, a nie Azja, lub Ameryka?

— Popatrz lepiej na patrole. Więcej niż połowa, to nie zawodowcy, to tutejsi — folksdojeje. Ledwie po niemiecku nauczyli się rozumieć. Wyczerpują się rezerwy, — kończą zwycięstwa.

Golder lubi dyskutować, ale znam dni, gdy jest niechętny rozmowom. Dzisiaj milczy. Wszyscy są przejęci uczestnictwem w niedawno dokonanej egzekucji.

Zapowiada się smutny dzień, trzeci z kolei. Granica wytrzymałości ludzkiej musi być gdzieś o wiele dalej, już teraz zdajemy się być uodpornieni na najgorsze ciosy psychiczne. Przychodzi otepienie, przez jego gęstość nic nie jest w stanie dotknąć człowieka.

Otrzymaliśmy cztery kilofy. Odskakują od ziemi bez większych rezultatów. Chłopcy z Powiśla tworzą wewnątrz nas zgrana paczkę — pierwsi sięgnęli po kilofy — wiedzą, że praca wzmocni ich ciała i odbierze myśli. Czujemy jak palce u nóg przeszywa mróz, jak lodowacie ręce. Co chwilę wysuwamy się do małych restauracyjek na szklanek herbaty, lub setkę wódki. Nie na długo pomagają płyny. Prawie natychmiast wraca zimno.

— Teraz zrozumiacie, czym jest dla Niemców front rosyjski — powiedział na boku skurczony z mrozu Golder. Po wódce znieczula się ciało, ale temperatura członków nie podnosi się wcale, nogi ciepłą, myśli stają się bezładne, tracą grunt.

— A kiedy ustaje oddziaływanie alkoholu trzeba powtórzyć zabieg, słyszę jak radzi Golder — koniecznie! Bo znika reszta energii. I tak dalej, zawsze bez korzyści, jak we wszystkim.

Niebo prawie olowiane wróży obfite opady śnieżne. Ciągłe przechodzą patrole. Jeszcze przed kilku miesiącami w skład strefy wchodziło pięciu żandarmerów, obecnie sięga piętnastu osób. Broń trzymają w pogotowiu, palce nierzadko na cynglach. Zauważyliśmy, że często idzie przed nimi dwóch cywilów.

— Ze wszechmiar rozsądne — mówi Nowak — ci mogą niedostrzeżeni obserwować ulicę i w razie czego gotowa zasadzka.

Jesteśmy ubrani w papierowe kombinezony z zieloną opaską służby przeciwlotniczej. Wydawało się, że to wystarczy, aby nas pominąć. Jednak pojedynczo każdemu sprawdzili dokumenty i obmacali kieszenie.

Koło godziny dwunastej przyjechał do nas leutnant Schnabel i oświadczył, że murki trzeba wysadzić dynamitem. Ziemię wydobyliśmy już przed kilku tygodniami i gdyby był ktoś w stanie skruszyć szkielet odkrytych fundamentów robota byłaby na ukończeniu.

Niepokoiłem się, gdyż opuszczający nas urzędnik Betonbau listę obecnych zostawił Foglewskiemu. Wybrał go ponieważ stał najbliższym i sądząc z poprzednich dni nie opuszczał pracy.

— Jak się nazywacie? — zapytał urzędnik.

— Zanotujcie, gdyby kto uciekł? (dodał listę).

— Tak — brzmiała przerażona odpowiedź Foglewskiego. Gdy urzędnik odszedł przybliżył się Golder i szepnął:

— No, powiedz Fogelman — na jakie nieszczęście dali ci tę listę?

Foglewski jest wyraźnie strapiiony. W głosie Goldera przebiegało współczucie.

— Urzędnik jest folksdojczem — dodał, a ci mają niezłego nosa.

Teraz Foglewski kryje się przed wzrokiem leutnanta. Listę położył jak najdalej od siebie.

Leutnant kończy przemowę. Trzasnęły drzwiczki zielonego opla. Golder objaśnił tym, którzy nie znają niemieckiego słowa leutnanta. Za godzinę mają przyjechać minierzy i do tego czasu należy wyźłobić otwory u podstawy muru w odstępach metrowych, każdy na głębokość łokcia.

Śnieg zaczął padać na dobre. Słowa Goldera rozlaży się nieprzyjęte. Na Krakowskim Przedmieściu wszczął się ruch mundurów. Patrol postrzelił uciekającą kobietę. Leży pod pomnikiem Chrystusa Króla. Nowak wziął ze sobą łopata i pomaszerował w kierunku zbiegowiska.

— Chyba kolporterka — domyślają się koledzy. Chłopcy z Powiśla oddali kilofy i poszli na obiad. Grube płaty śniegu zasypują ślady naszych kroków. Powoli zagroziło nam milczenie śladów. Każdy tylko obok siebie zaznaczał ruchy. Nic się nie łączyło.

Nowak przyszedł i sprostował nasze domysły:

— Przede wszystkim — mówi — nie postrzelił, a zabił, i to nie była kolporterka, a Żydówka.

Jeszcze ktoś wtrącił się i zapytał:

— A skąd wiesz, czy Żydówka nie mogła być kolporterka? Ale na ogół nikomu nie chce się dyskutować. Głosy cichną nad nieobojętym wyrokiem śmierci.

Golder jest szczupły. Kombinezon przeraża go. Kōlnierz sięga czubka głowy. Jest zdenerwowany, bo chciałby pójść do domu. Nabiera na łopata śniegu, potrząsa, układa równo jak ziemię i podzucca.

— Butów nie mam. Ot, co! Odwraca się w moim kierunku i pokazuje dziurawe podszewy.

Raptnie dostrzegam w nim kogoś innego. Oddala się jako człowiek zależny od swojej woli — autonomiczny. Jak tak stoi oparty o oszronioną ścianę rozkopanych fundamentów twarz jego zmniejsza się. Biedny niewolnik czasu wojny. Jest on moim symetrycznym odbiciem — w jego rysach i w jego zależnościach oglądam siebie.

W basenie coraz mniej naszych. Biorę Goldera pod rękę i proponuję odmarz na herbacie. Sklep jest pusty, otwarty tylko dlatego, że obowiązują godziny otwarcia. Za nami pozostała burza śnieżna. Wiatr usypuje zaspy.

2.

Mineją pora posiłku. Żołądki dają o sobie znać. Bez jedzenia stajemy się nieodporni na mróz. Mimo zapowiedzianego przyjazdu minierów wielu z nas rozeszło się do domów. Dopiero na noc przyjdą do koszar.

Śnieg pada, a nadto wiatr nadmucha do basenu warstwy leżącego śniegu. Często niespodzianie uderzają w twarz, do stają się do uszu, lub za kōlnierze. Nie na długo wystarcza przytupywanie i rozcieranie rąk.

Wzrok nasz nie obejmował całości ulic. Rosły dopiero od parterowych okien. Kąt patrzenia udaremniał widzenie jeździ. Dostrzegliśmy głowy przechodzących. Przeważały głowy niemieckie w hełmach, lub wojskowych czapkach. Zazwyczaj w odstępach kilkuminutowych, oddzielone pustką padającego śniegu. Z daleka megafon przekrzykiwał złą pogodę.

Gdy przyjechali Niemcy mieliśmy już zakończyć stanie i powrócić do koszar. Samochód dojechał do krawędzi basenu.

Listy nie było — odchodząc zabrał ją Foglewski. Jeden minier, młody wysoki chłop w randze wachmajstra kazał ją sobie doreczyć. W jego oczach i w zmarszczeniu brwi uwidaczniało się wzburzenie. Głosu jednak nie podnosił. Powyrzucał majzle i młotki z samochodu, drugi wydobył skrzynkę z bateriami. Schnabel odjechał — na tle śniegu zablanszył niebieski dymek spalinowego gazu.

— Człubym się lepiej, gdyby leutnant pozostał — powiedział Golder, kłęczący u podstawy muru.

Mamy wyźłobić kilkadziesiąt otworów i to przed zapadnięciem mroku. Mur jest twardy, majzle tępe i praca nie prędko posuwa się naprzód, mimo wysiłków. Od metalu żębną ręce. Każde uderzenie młotka sprawia dotkliwy ból.

Wachmajster staje się coraz bardziej zawzięty. Pyta się o nazwiska nieobecnych. Milczymy. Nikt nie przyznaje się do znajomości języka.

— Versteht ihr deutsch? Zwraca się do stojących razem Goldera i Nowaka. Z wściekłości ledwie panuje nad głosem.

Uważnie popatrzył się w ich twarze. Kiwnęli przecząco.

— Nein — powiedział Golder.

Wachmajster odwrócił się w stronę Niemca siedzącego na skrzynce z bateriami. Teraz syczy:

— Keiner von ihnen spricht deutsch. Dieser Vieh versteht nur „nein“ zu sprechen!

Starszy wiekiem, a młodszy rangą nie zajmuje się nami. Czasami wstaje, zabija rękami, pochodzi i znów siada na dawne miejsce. W ustach trzyma krótką fajeczkę. Pyka raczej powiaterem niż dymem: co chwilę wygasa. Nie traci cierpliwości, mechanicznie wyciąga zapalniczkę z zakrętką, mozolnie odkręca i osłaniając od wiatru polą szynela próbuje skrzesać ogień. Twarz ma zżarta przez ospę, czoło poryte szerokimi bruzdami. Szpetotę Niemca podwaja zupełny brak brwi i rzęs.

Sąsiad od lewej nie przestaje kuć ani na moment. Mówi, że zna wachmajstra.

— Prowadził prace minierskie w Ghetto — Potrafi bić! Śnieg zasypuje nas. Spada na odkryte ręce — ruch strąca go — płatki wirują i zataczają kilka nagłych zwrotów zanim osiadą na ziemi.

Wachmajster wpadł na pomysł. Spisuje nazwiska obecnych.

— Die Fluchtlinge — mówi nie zważając na milczenie — werden als Sabotagisten der Gestapo ubergewiesen!

Bierze od nas dokumenty i notuje numery ausweisów. Kilku z nas istotnie nie zna niemieckiego. Ci czasem wybąkną jakieś słowo. Reszta uważa, aby nie wydać się choć jednym dobrze powiedzianym zwrotem.

— Wer hat Liste? — Wo ist er? Pyta się każdego z osobna. Wzruszamy ramionami. Nie ufa nam — natęża głos. Przechwują świadomy opór.

Nad basenem przystanąło kilku żandarmerów z powracającego do komendy patrolu. Kiwiają głowami pełni zrozumienia. Wykuwanie otworów przeciąga się. Mimo wycięcia sił i pośpiechu z jakim tłuczemy ścianę, mur nie łatwo ustępuje. Ręce drętwieją. Zgięty krggosłup odmawia posłuszeństwa. Z otworów wysypuje się na śnieg i na rękawy kombinezonu czerwony pył tłuczonej cegły.

Niemcy w gotowe zagłębienia wsuwają krawki białego dynamitu połączone cienkim drutem. Następnie wyloty otworów zasklepiają grudkami ubitego śniegu.

Zaczyna robić się ciemno. Ulice zwięzają się od mroku.

Niemcy postanowili wysadzić podmianą część muru, a resztę prac minierskich odłożyć na jutro.

Liczne patrole wracają z obchodów. Przystają koło basenu. Broń nakładają na ramię. Wyglądają bardziej pokojowo niż w dzień. Zdjętym hełmy, widocznie ziębią głowy i nakładają furażerki. Nie podoba im się rzekomo wolne tempo wykonywania. Gdy jedni napatrzą się, przychodzą następni. I następuje identyczne powtórzenie poprzedniej sceny.

Nowak stoi najbliższym włazu. Zawołał go ospowaty Niemiec i kazał mu przenieść baterię za załom muru przy ulicy Bartoszewicza. Sam doprowadził do akumulatorów drut nakręcony na drewniane szpule. Wachmajster kazał nam opuścić basen. Rozejść się jeszcze nie wolno. Stoimy na wzniesieniu nad basenem niczym nie ostożnicy od mroźnego wiatru. Zimno jest takie, że odechciewa się życia.

Wachmajster próbuje nas rozstawić, a byśmy nikogo nie dopuszczali w pobliże basenu. Nie wszyscy orientują się o co mu chodzi. Nowak zaczął wskazywać dokąd mają pójść. I wyjaśniać po co. Wachmajstrowi wydało się, że Nowak ukrywa znajomość języka niemieckiego. Dopadł go i szarpnął ze złością.

— Du verstehts doch deutsch!

Ospowaty zakończył przygotowania. Posperiał w skrzynce i wydobył mosiężną trąbkę. Zanim zatrąbi jeszcze raz dotyka gniazodka baterii i sprawdza istnienie prądu.

Wachmajster pierwszy dostrzegł Foglewskiego. Wyszedł z ulicy Pawiej. Idzie obasypany śniegiem. Oczy ma nawpół zamknięte. Twarz nieruchoma, siłą. W szerokim kombinezonie wygląda jak nurek. Ospowaty opuścił trąbkę. W twarz Foglewskiego wybija się rysy semickie. Mrok spotęgował jednoznaczność rysów. Jesteśmy przerażeni. Uwy puklił się nos — ciężkie powieki osłaniają oczy. W ciszy wyludnionej ulicy podwaja się donośność skrzypu butów na śniegu. Wszyscy wstrzymali oddech.

Wachmajster pierwszy drgnął. Zautomatyzowanym ruchem odpiął pachę i wyciąga broń. Lufę kieruje do ziemi.

Foglewski staje pośród nas. Rozstępujemy się przed nim. Jest sam — w środku.

Nie jest w stanie utrzymać się na nogach — drży. Z pod pachy wysuwa się lista zatrudnionych.

Oczy Foglewskiego rozwarły się szeroko — spozstrzegł Niemca. Bardziej lękamy się ciszy, niż działania.

Próbuje przezwyciężyć bezradność. Jest pijany. Niespodzianie wrócił mu część

przytomności. Lecz myśli nie jest w stanie połączyć w całość. Oczy tępeją trwogą. Wargi zwierają się w luk, opuszczony ku dółowi.

Otwiera usta i zamyka bez słowa. Ciszę mamy dość. I raptem w powietrze objęte rzadkim kołem naszych ciał wpadają słowa niezrozumiałe.

Tych, którzy je usłyszeli osłupiała ich bezwzględna wymowa. Niemiec poruszył się i wolno podchodzi w naszym kierunku.

— Fogelman mówi po żydowsku — spokojnie powiedział Golder.

I w tej chwili pełnym głosem, w ciszy,

z wielokrotnym wprost w twarz wachmajstra dodał:

— Herr Wachmaister! Der Kammerad mit der Liste war in zwischen die andern Leute suchen gegangen.

Z całą siłą długo wstrzymywanej wściekłości wachmajster rzucił się na Goldera. Zachwiała się niska sylwetka człowieka odzianego w papier.

Ospowaty od tyłu podszedł do Foglewskiego i prawą ręką uchwycił skórę twarzy i nos i pomagając sobie nachyleniem korpusu szarpnął.

Foglewski rąnął na śnieg i znieruchomiał. Na twarzy rozdartej w kilku miejscach pokazały się plamki krwi.

Golder leży na kopcu śniegu zgarnianego z ulicy. Niemcy już się uspokoiłi. Odeszli do skrzynki z bateriami.

Podnieśliśmy Goldera i Foglewskiego i ostrożnie poprowadziliśmy za kiosk.

Z tyłu za nami rozległ się głos trąbki. Zagrał w ciemną noc. Za trzecim odezwanem gucho szarpnęło ziemią. Z dachów i gzymsów posypał się strząśnięty podmuchem śnieg.

Obciążeni metalem przez puste ulice wracamy do kózar.
Jerzy Miller

JERZY PAŃSKI

KŁOPOTY RADIOWEGO PROGRAMU

Niemal od pierwszej chwili po objęciu pracy w Polskim Radio starałem się w jakiś sposób zgalwanizować naszą publicystykę, by zainteresowała się programem radiowym. Usiłowania te, jak dotąd, nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem; dopiero ostatnio otrzymałem od Redakcji „Kuznicy” list, z propozycją, bym o naszym programie radiowym wypowiedział się sam. Jest to — wyznać muszę — dość nieoczekiwany rezultat moich zabiegów; w każdym razie bynajmniej sprawy nie załatwia, choć może posunie ją nieco naprzód — i dlatego chcę skorzystać z tej propozycji. Że jednak nie należę do ludzi wpadających łatwo w stan samouwielbienia, ani też nie mam skłonności do pokutniczych samobiczowań, nie zamierzam ani krytykować naszego programu ani też go bronić; i ważam zresztą, że w tym wypadku — w odróżnieniu od innych — obowiązywać powinien jednak zasada odpowiedzialności zbiorowej. Myślę natomiast, iż warto by porozmawiać o niektórych naszych bolączkach i kłopotach — i zacząć od tych, których jednym z sygnałów jest list Redaktora, „Kuznicy”.

Narzekaniem na program radiowy jest na ogół zjawiskiem dość powszechnym, bynajmniej nie ograniczonym do naszej szerokości geograficznej. Pomijam już te krytyki — dość rozpowszechnione i wcale poważnie wpływające na opinię o programie radiowym — która opiera się na słuchaniu radia z poręczą przez otwarte okno; nawet jednak sady formułowane bezpośrednio muszą być obarczone tą zasadniczą skazą, że warunki obcowania z programem radiowym zawsze są mniej lub bardziej przypadkowe, odmienne niż dla wszystkich innych dziedzin sztuki, środków informacji lub propagandy. Ogrónna większość ludzi słucha radia dlatego, że ma w tej chwili właśnie czas; myśle, że nie byłoby dobrze z dramatem, muzyką czy literaturą, gdyby ludzie mogli z nimi obcować tylko przegrodnie w czasie wieczornej przechadzki, nie mając na domiar wpływu na to czy wybrać „Hamleta”, muzykę jazzową, czy egzystencjalistową.

Jednakże to jest niejako urzędowe pensum, asortyment obowiązkowy, coś w rodzaju żełaznej porci, jaka Opatrzność czy publiczność wydziela każdej radiofonii. Jest to zresztą z natury raczej serwis poufny, pantoflowy, pozbawiony oficjalnego stempla, jaki daje krytyka prasowa. W niektórych krajach przeciw zdarza się, że ten czy ów koncert, to lub owó słuchawisko doczeka się jakiejś oceny w prasie; bywa nawet i tak — np. w Francji — że pisma, zajmujące się sprawami kultury, prowadzą — stała rubrykę recenzji radiowej, notująca wszystkie wloty i upadki programu. U nas jest pod tym względem inaczej; a jak głęboko sięga to nieporozumienie — dowodem właśnie list Redaktora „Kuznicy”. Czy naprawdę jest rzeczą właściwą, by dyskusje nad programem radiowym o twierdza enuncjacja Dyrekcji Polskiego Radia?

Ale tak się już u nas utarło, że dziedziną zjawisk, podlegających stałej i rzeczowej prasowej ocenie, jest dość ograniczona. Pisze się recenzje teatralne, analizuje powieści lub tomy poezji, omawia niektóre filmy — i na tym koniec; ale już jeśli chodzi o film, krytyka za ostatni przystanek uważa pełnometrażówki (bo to jest „sztuka filmowa”) i przed kroniką filmową lub reportażem wyjeżdża. Tymczasem, jeśli „Zakazane piosenki” trudno zaliczyć do triumfów polskiej kinematografii, wśród krótkometrażowych obrazów Filmu Polskiego znalazłyby się takie, które przewyższają je pod wieloma względami. Tak daleko jednak krytyka nie błądzi, dzieląc pozostałe zjawiska na takie, wobec których obowiązuje woda w ustach lub urzędowy optymizm (który zresztą podobno jest też jednym z naszych grzechów głównych) oraz takie, które są spod tego optymizmu wyłączone i nadają się wobec tego doskonale do roli t.zw. „bolączek”, po których można jeździć do woli. Gdyby przynajmniej ten podział miał cechy trwałości! Wiele zjawisk korzysta jednak z czasowego tylko przywileju nietykalności, nie opartego na żadnym urzędowym „tabu”; o tych w prasie milczy się dopóty, póki ktoś nie uzna, że „sprawa dojrzała” i że należy je „zaatakować”. Wówczas sprawy te automatycznie przekształcają się w klasy nietykalnych do klasy bolączek — ale z krytyką wciąż niewiele to ma wspólnego. Nawet bowiem jeśli ataki te kierowane są nie zła wola lub interesem politycznym, lecz istotną chęcią spowodowania poprawy, chybiamy celu właśnie dlatego, że są atakami, że nie spełniają zadania krytyki, podsuwając zamiast analizy ogólnikowo negatywne sady.

Podniesienie poziomu programu radiowego wymaga przede wszystkim stałej współpracy,

krytyki; nie rozwiąza tego zagadnienia ani generalnie szturny, ani listy słuchaczy (których zresztą otrzymujemy bardzo wiele i których analiza pozwala na wysnuwanie pewnych wniosków programowych).

Sprawa stworzenia działu krytyki radiowej w periodycznej prasie wiąże się jednak z zagadnieniem głębszym i również od innej strony wpływającym na poziom programu, mianowicie — ze stosunkiem do radia, a zwłaszcza do słuchania radia, sier, że tak powiem — kulturotwórczym. Przekonanie, że radio to propaganda, nie jest wyłączną własnością Augusta Becwaiskiego i jego żony Alicji; na ogół w najliczniejszym razie uważa się radio — w jego działalności kulturalnej — za jakąś namiastkę kultury dla mas. O pióro nade mną mieszką pewna inteligentka rodzina, posiadająca kilkulampowy odbiornik. Mur w naszym domu są cienkie, mimo to radio sąsiadów niezbyt mi przeszkadza; otwiera je wyłącznie w godzinach, kiedy Londyn mówi po polsku. Rozumiem to upodobanie i nie to mnie u owych sąsiadów dziwi, choć współczuję im szczerze; ale pojąć nie mogę, jak człowiek czytający książki, chodzący zapewne do teatru, osłuchany z muzyką — nie zauważa, że radio mogłoby mu dostarczyć szeregu innych przyjemności prócz satysfakcji obcowania z duchem anglosaskim. Nie narażając go przy tym wcale na możliwość zatrudnienia jakiego bolszewickiej propagandy? Niedawno „Gazeta Ludowa” zapewniła nas, że chłopci nie słuchają polskiego radia, bo jest nudne, tylko Londynu i Berlina. Miała oczywiście na myśli chłopów zamieszkałych w pobliżu redakcji, w granicach warszawskich rogacek — bo jeśli chodzi o wese, ta słucha nas niewątpliwie najchętniej; ale przesąd, że słuchanie stacji rodzinnej właściwie jest w złym tonie i że koncert z Albert Haflu, mimo gwizdów i trzasków w odbiorniku, jest piękny, a ten sam koncert, gdy się go odbiera z czysto nagranej płyty, jest świadectwem moralnego upadku — obejmują kregi znacznie szersze, niż krag czytelników „Gazety Ludowej”. Skutek zaś tego jest taki, że program przeznaczony dla wybredniejszych słuchaczy bądź trafia w próżnię, bądź budzi sprzeciw jako zbyt elitarny.

Jak w takich warunkach wypada ocena programu — można to zademonstrować na przykładzie opinii o programie muzycznym: mówię, rzecz prosta, o opiniach pokątnych, innymi bowiem nie rozporządzałam. Są to opinie przede wszystkim ilościowe, dotyczące wzajemnego stosunku muzyki poważnej, popularnej i lekkiej lub żywej i mechanicznej i w tym zakresie całkowicie ze sobą sprzeczne, zgadzają się zaś tylko w jednym: w całkowitej nieświadomości warunków, w jakich nasz program muzyczny się buduje. Nie są to warunki sielankowe. Warszawa pozbawiona jest właśnie środowiska muzycznego: nie ma orkiestry filharmonicznej, opery, nie ma wybitnych solistów, nie ma sali koncertowej, nie ma zespołów wokalnych. Poza Warszawą jest pod tym względem nie o wiele lepiej; zagranicznymi wykonawcami jeszcze do Polski nie przyjeżdżają; łączność kablowa dla wymiany programów nie ma. Działające zespoły symfoniczne, wśród wielu trudności, borykają się z katastrofalnym brakiem partytur. Przed wojną producentem partytur byli Niemcy; obecnie nie można ich zdobyć nigdzie, i jesteśmy szczęśliwi, gdy nam się udaje w jakiejś radiofonii zagranicznej wypożyczyć tę lub ową partyturę, która po wykonaniu odsyła się z powrotem. Podobnie brak jest orkiestrowych muzyki lekkiej i tanecznej — a dla informacji dodać mogę, że Polskie Radio przed wojną prefinansowało na zakup nut 10.000 zł miesięcznie, mimo iż znaczne ilości nut otrzymywało w drodze wymiany.

Prócz tego nasze własne trudności techniczne: studia, kable, aparatura, instrumenty, a wreszcie choćby i to, że zebrac o jednej godzinie dziesięciu muzyków, grających poza radiem w najrozmaitszych zespołach, jest znacznie trudniej, niż rozwiązać klasyczne zadanie o wilków, kocznie i kapucinie. Toteż w tym stanie rzeczy nie przestane uważać Romana Jasińskiego, który kieruje całą tą piekielną maszyną, za magaika, wytrząsającego zające z cylindra, ani też sądzić, że krytyka wówczas tylko nam pomoże, jeśli będzie fachowa, jeśli będzie się liczyła z warunkami rynku muzycznego w Polsce i jeśli uwzględni całokształt założeń programowych radia, które w dziedzinie muzyki są bardzo szerokie.

W każdym razie w zakresie programu muzycznego stwierdzić można, iż współpracujemy ze wszystkich, co nam obecny świat muzyczny w Polsce może dać najlepszego, że radio poza tym w sposób wcale poważny

przyczynia się do organizacji środowisk muzycznych i pobudzania życia muzycznego w kraju. Nie da się to niestety powiedzieć o odcinu literackim; tu jesteśmy izolowani nie tylko od krytyki, lecz w znacznej mierze i od współpracy pisarzy. Podstawowa rama programowa w tej dziedzinie jest słuchawiskowa; ta forma, przed wojną nie rozbudowana, obecnie rozwinęła się bardzo poważnie i przez szerokie masy słuchaczy przyjmowana jest bardzo chętnie. Jak dotąd jednak, nie wielu pisarzy pociąga ten rodzaj twórczości. Działają tu zapewne rozmaite przyczyny, ale jedna z nich jest chyba pewien odcień lekceważenia, z jakim się pracę dla radia w tej dziedzinie traktuje. Toteż repertuar słuchawiskowy opiera się w ogromnej większości na adaptacjach, dokonywanych na ogół przez własny personel redakcyjny. A rzecz jest swoją drogą dziwna: przecie na rozum biorac, pół miliona abonentów radia stanowić powinno większą siłę atrakcyjną, niż — dajmy na to — kilkadziesiąt teatralnych foteli, to zaś, że „teatr wyobraźni” jest sztuką młodą, często poszukującą jeszcze właściwych form artystycznych, choć niejednego pisarza odświeża, innych mogłoby raczej pocągać. Niewątpliwie nie zdajemy sobie sprawy z tego, o ile łatwiej, o ile silniej i skuteczniej przemówić może pisarz do społeczeństwa przy pomocy radia, niż z desek sceny lub z kart książki. Przez kilka miesięcy z rządu czytaliśmy przez mikrofon „Laika”; była to jedna z najbardziej entuzjastycznie przyjmowanych audycji. Pisze dla radia powieści odcinowe Gojowicyńska i Boguszewska; ale czemu poza tym niekt z pisarzy nie myśli o powieści radiowej, o jej zupełnie nowych możliwościach rozwiązań formalnych? Swego czasu pracowaliśmy w radio z Adamek Wazykiem; miał on wówczas znakomitę wyuczcie odrębność tej swoistej formy artystycznej, jaka stwarza mikrofon. Czy i on dziś uważa, że szamującym się pisarzowi, nie wypada pracować dla radia? Myślę, że jednym z źródeł tej abstynencji jest jednak przekonanie, że pisać można książki — to jest namacalne, to zostaje i trwa, albo dramaty — to można zobaczyć, o tym się mówi i pisze recenzje, ale radio — to studia, w która wrzucasz się utwór po to, by go najwyżej ktoś usłyszał przez głośnik w Papiówce.

Jest jeszcze jedna trudność zasadnicza, odbijająca się fatalnie na realizacji naszego programu kulturalnego. Mówiło się o niej już nie raz, nie tylko w odniesieniu do spraw radiowych, wpływa ona bowiem wybitnie na całokształt naszego życia kulturalnego w Warszawie. Przed wojną t.zw. „Program ogólnopolski” w ogromnej większości nadawany był bezpośrednio z Warszawy, rozgłoszenie regionalne wkładały doń tylko swoje specjalne „smaczki”, jak np. „Wesoła fala” lwowska. Obecnie Warszawa nie mogłaby wypełnić sama nawet połowy programu, a niektórych rodzajów audycji (np. koncerty symfoniczne, humor i satyra) program byłby w ogóle pozbawiony. Jednakże to przecie tu, w Warszawie koncentruje się cała praca organizacji programu, od Warszawy wymaga się najwyższego poziomu i uzupełniania programu tym wszystkim, czego prowadząca dać nie może. Oczekując tego dokonać w mieście, w którym nie ma właściwie ośrodka, skupiającego kulturalno-artystyczne środowisko? W którym nie ma dotąd pisma literackiego, w którym od teatrów wiele często nuda i najgorsza prowincjonalna szmirra, o plastykach nie słysząc, w którym — co tu dużo gadać — nie ma nawet literackiej kawierki, czego przecież — jak Warszawa Warszawa — nie było nigdy. Jeśli to nie jest próżnia zupełna, to w każdym razie strefa nader rozrzedzonego powietrza; i myślę, że odbija się to nie tylko na programie radiowym, ale na wszystkich naszych kulturalnych poczynaniach. Toczmy się w tej chwili w „Kuznicy” dyskusja na temat działalności Min. Kultury i Sztuki; ale czy jedną z najbardziej zasadniczych przyczyn uwziętego w niej rozdzwieku nie jest właśnie to, że Ministerstwo musi obracać się w rozrzedzonym warszawskim powietrzu? Sprawa stworzenia w Warszawie środowiska kulturalnego na miarę stołecznej jest moim zdaniem sprawą jak najbardziej palącą. Jest to oczywiście przede wszystkim sprawa budowy mieszkań. Polskie Radio zamierza w tym roku zbudować kilkadziesiąt izb z takim właśnie przeznaczeniem, by mogli znaleźć w nich siedzibę artyści związani z radiem, ale oczywiście pomyśleć o tym musza i inne instytucje, a przede wszystkim t.zw. „czynniki”.

Póki zaś to nie nastąpi, jesteśmy z konieczności skazani na znaczny udział w programie rozgłoszenia regionalnych, a to mimo najstarszej kontroli, w naszych warun-

kach komunikacyjnych zresztą nader utrudnionej, zawsze będą miały skłonność do zbyt pochopnego popierania samородnej twórczości.

Cóż powiedzieć o naszym programie politycznym - propagandowym? Nasza propaganda przedwojenna miała istotne cechy czysto niedanej improwizacji, nie potrafiłszy wypieścić z niej nudy, a audycje satyryczne nie grzeszyły nadmiarem wybrednego humoru. Wiele w tym było nieuniknionego w naszych warunkach eksperymentu, który pozwolił dopiero na przyszłość wyciągnąć pewne wnioski, wiele koniecznego w tym okresie uleganie naciskom w kierunku mikrofonowej obsługi, wiele też nonszalanckie ale epideemia ta jeszcze w Polsce nie wygasła. Jest jednak pewna istotna cecha radia, która tu należy uwzględnić. Prasa reprezentuje opinię publiczną i w jej imieniu wysuwa takie czy inne postulaty, walczące o realizację tych postulatów, przeprowadza kampanie, stara się przez krytykę wpłynąć na usprawnienie pracy aparatu państwowego na tym czy innym odcinku. Otóż radio wpływa na opinię publiczną, lecz jej nie reprezentuje; radio jest ze swej natury bezosobowe i nie posiada mandatu kontroli społecznej. Toteż krag zjawisk, wobec których radio musi w krytyce zachowywać najdalej posuniętą rezerwę, jest bardzo szeroki i bynajmniej nie ogranicza się do zakresu działania organów państwowych. Oto drobny przykład: niedawno nasz referent sportowy wygłosił pogadankę, w której zwalczał t.zw. „karencje” zawodników, stosowaną w PZPN. Moim zdaniem, ta audycja nie powinna być w naszym programie ukazana. Sprawa utrzymywania czy zniesienia karencji może być dyskutowana w prasie z zachowaniem równości szans; zajmowanie w tej sprawie stanowiska przez radio jest niemożliwe, przynajmniej do czasu, póki PZPN nie będzie rozporządzał własną stacją nadawczą. Trzeba przy tym zważyć, że radio jest bronia po stokroć potężniejsza niż prasa i że nieumiejętność w posługiwaniu się tą bronią łatwo może wywołać taki skutek, jak strzelanie do polży z armaty. Ta sama wiadomość, która — wydrukowana w gazecie nawet przy pomocy największych członków „Wieczoru Warszawy” — wzbudzić może co najwyżej pewne zainteresowanie, podana przez radio wywołać może panikę. Z tych też względów radio nie jest czysto odpowiednim instrumentem do oddawania tego, co się w języku prasowym nazywa nieupiększonym obrazem rzeczywistości. Radio krzyczy nawet wówczas, gdy mówi szepem; drobne ogłoszenia przez radio docierają wszędzie z równą siłą, co informacje o wybuchu bomby atomowej — i to zarówno w kraju, jak i poza jego granicami; tego nigdy nie wolno lekceważać.

Tyle na razie w obronie naszego „urzędowego optymizmu”.

Nie jest wygodnie walczyć z przeciwnikiem niewidzialnym, nie wiedząc jaką broń chowa w zanadrzu i z której strony na nas uderzy. Tym bardziej, że co do mnie — skłonny jestem bronić się jedynie przed niesłużnymi zarzutami, natomiast przyrzekam wysłuchać potulnie zarzutów uzasadnionych, których niewątpliwie wiele można nam postawić. Myślę, że może warto by było poddać dyskusji nasz program nie tylko od strony jego wykonania, lecz i od strony jego założeń (nie mówiłem tu na przykład o całej dość rozległej naszej działalności oświatowej). Ale wydaje mi się, że warunek pożyteczności takiej dyskusji byłby jeden: by nie opierała się na opiniach przygodnych słuchaczy, lecz na rzeczowej i twórczej analizie.

Jerzy Pański

Tak, to dziwna rzecz zaczynać dyskusję od wypowiedzi omal urzędowej. Po zbrojeniu tej dziwnej rzeczy „Kuznica” zaprasza wszystkich zainteresowanych do zabierania głosu w sprawie programów audycji radiowych. Czekamy na poważne analizy fachowców i konstruktywna krytykę, której ten dział naszej działalności kulturalnej istotnie potrzebuje, a dotąd uzyskiwał o wiele za mało.

rdc

Dokument dni grozy



Tadeusz Hołuj

Trudno byłoby do „Wierszy z obozu“ Tadeusza Hołuja stosować zwykłe miary ocen krytycznych, analizować te wiersze metodą ściśle formalną, stawiać wobec nich wymagania tej czy innej estetyki normatywnej. Byłoby to trudne, a co najważniejsze — bezcelowe. Te czy inne kryteria estetyczne można stosować do utworów pisanych z założeniem czy ambicją osiągnięcia formalnych, tam zaś, gdzie elementy formalne będą tylko czynnikiem wtórnym, niezmiernym, użytkową galerijką przy konstrukcji żelaznej, — należy przystępować z zupełnie innym, odpowiadającym materiałowi aparatem badawczym. Jeżeli w dalszym ciągu tej recenzji pozornie odstawiamy od postawionej tu tezy (która jest tylko tezą roboczą, ułatwiającą w danym wypadku rozpatrywanie wierszy o określonym charakterze), — to tylko dlatego, że dobrze i celowo umieszczona na konstrukcji

żelaznej galerijki w zasadzie powinna odpowiadać wymogom nie tylko użytkowym, lecz wymogom najprostszego poczucia estetyki.

Wiersze Hołuja powstały w warunkach obozowych, a autor ich był jednym z czynnych uczestników tajnego ruchu oporu w Oświęcimiu. Już sam fakt z góry determinuje charakter utworów zawartych w zbiorze. Jest to bodaj jedyny znany mi tom wierszy obozowych, gdzie w sposób artystyczny została odzwierciedlona prawda życia w obozie zniszczenia, gdzie nie zostały sfalszowane zasadnicze proporcje w odczuwaniu więźniów. Wiersze te zostały napisane — jak można się domyślać — dla podtrzymania w obozowym otoczeniu autora siły ducha i wiary w zwyciężenie „czasów pogardy“, a jednocześnie po to, aby innym, tym, którzy nie znają warunków życia obozowego (a jeśli znają, to z relacji fideistów uważających udreki i poniżenie człowieka w obozie za dopust boży) — dać świadectwo niezależnej, rewolucyjnej postawy ludzi, którzy pomimo wszystko potrafili zachować godność ludzką i ludzką niezależność.

W słowniku łacińskim obok słowa *conspiratio* znajdujemy dwa znaczenia: zgoda, jednomyślność i zмова, bunt. Jednomyślność i bunt — to były motory działania tych nie liczących, którzy „w głębi otchłani, na dnie — zachowali tyle niezależności ducha, swobody myślenia, że zdobyli się na rzecz swobody myślenia, na opór, *conspiratio*. I gdyby trzeba było określić „Wiersze z obozu“ Hołuja dwoma tylko słowami, to niechybnie nəsunęłyby się na myśl te właśnie określenia łacińskiego wyrazu: jednomyślność i bunt.

W wierszu „Przeciw otchłani“ pisze Hołuj:

Trupy biją o wozy nasz czas,
fronty mrużą daleko po obcych ziemiach,
kiedy człowieczą broń wydobywszy z grozy i milczenia,
przeciw otchłani stawiając most,
spotykamy się z wszystkich stron świata
przeciw w przerażonej otchłani klęczącemu
z ładunkiem gniewu.

Człowieczą bronią w walce ze „śmiercią i trwogą“ jest gniew, ścieranie się z wroga przemocą aż do ostatecznego tchnienia. Ten patetyczny zwrot w codziennym życiu więźniów oświęcimskich odzyskiwał swój dosłowny sens. To właśnie było prawem wolnego człowieka, prawem, którego mu nikt i nic nie potrafiło odjąć. Więc acz niechętnie, trzeba tu zastosować tylekroć nadużyte słowo humanizm, gdyż właśnie ono najlepiej wyraża istotę wierszy Hołuja. Humanizm — czyli wiara w człowieka, czyli miłość do człowieka i największego jego dobra: wolności.

Miłość ta nie jest jednak w utworach Hołuja mdłym i wszystko wybacającym, człowiekiem wolnym, ceniącym najwyższe wartości człowieczeństwa, umie nienawidzić jego wrogów, umie zdobyć się na opór:

Ręką — broń, stalowe wiosło,
sercem męskim na próżno skarga,
mocny, będzie — nie czeka! — rósł.
Lata, lata. Niech będzie walka.

Zwłaszcza gdy „sprawą męską“ jest nie tylko walka, gdy trzeba również „być sobą tu“, zachować godność i zdolność „sztydzenia z potęg“. Jest to antidotum na chorobę niewoli, odrutka przeciw „dnu rozpacz“. Smutne to sztyderstwo:

Oglądam się w lustrze najbardziej
człowieczym
i na śmiejącej wardze odważną czuję bę-

pisze Hołuj w jednym z najbardziej przejmujących wierszy p.t. „Trzy drzewa“, a w doskonałym wierszu „Wiem zdechnąć mogę“ zdobywa się na ton niemal że villonowskiego „wielozłozego“ humoru, ton głęboki i bardzo prawdziwy.

Ale i „ludzkość“ tych wierszy, i najbardziej nawet męski bunt, i ton sztyderstwa — to tylko podstawowe ich czynniki. „Wiersze z obozu“ oparte są na tych elementach, lecz przytem, co najważniejsze, co należy podkreślić, — są konstruktywne, polityczne. Ponieważ znajdują się jeszcze ludzie, którzy uważają to określenie za pejoratywne, nale-

ży wyjaśnić, co ono w tym wypadku oznacza. „Wiersze z obozu“ obejmują lata 1939 — 1945, lata konspiracji, pobytu w Oświęcimiu i w Flossenburgu-Litomierzycach, a także pierwsze dni po wyzwoleniu. Od pierwszego wiersza do ostatniego autor wyraźnie deklaruje swoje stanowisko — walka z Niemcami jest dla niego i walką z najeżdzącą i jednocześnie wielkim bojem z faszyzmem w imię idei socjalistycznej. W obozie oświęcimskim nie odrywa się on od powszechnego nurtu, widzi jasno ogólny cel walki i wyraźnie wskazuje współtowarzyszom skąd nadejdzie dla nich wyzwolenie. Owa pewność wyzwolenia nie opuszcza go nigdy w obozie — i na tym właśnie polega konstruktywność (nie w sensie formalnym oczywiście) wierszy Hołuja.

Dlatego też wiersze te, pomimo zagadnień ogólnych w nich poruszanych, są liryczne, są silnie nasycone pierwiastkiem emocjonalnym. Poprzez tendencję do racjonalizowania wciąż przebiega w wierszach obozowych Hołuja zrozumiała skłonność do uczuciowych reakcji na grozę „obłąkanego świata“; pogarda, sztyderstwo i wiara nie dają się ująć w lirycę w karby racjonalistycznego myślenia.

Te wszystkie czynniki wywarły decydujący wpływ na formę „Wierszy z obozu“. Nerwowa i chropowata kadencja zdań jest uwarunkowana ich treścią. „Ochrypli głos mój z pieśnią tą licuję“ — mógłby powtórzyć Hołuj za Tworczywym z puszkiwskiej „Uczył podczas dżumu“. Przydarzają mu się coprawda potknięcia na fałszywym, sztucznym obrazowaniu, jak np. w takim zdaniu: „Wyniesiony z milczenia stoję w ciepłej zadumie, białe panienki obłoków nad głową się śmieją“, w przedobozowych zwłaszcza wierszach znaleźć można takie rekwizyty, jak: „runę z siódła wysokiego, młodzieńki ulan“, lub też: „wszystko to... zostanie jak głuchy krzyk, jak zdarty proporzyc“ — niemniej ogólnie biorąc szlachetny tragiczny patos „Wierszy z obozu“ zapewnia im trwałą pozycję jako jednego poetyckiego dokumentu dni grozy.

Seweryn Pollak

SZKODLIWA KSIĄŻKA*)

Prof. Górski ignoruje językoznawstwo, jako wiedzę podstawową dla analizy sztuki słowa i w ogóle dla teorii literatury. Lingwistyka jest wiedzą ścisłą, w której trzeba się liczyć z każdym wypowiedzianym słowem. Autor unicestwia ją przez odwołanie się do „bezwzględniego empiryzmu“ i przeto twierdzi: przecież język nie istnieje naprawdę; — istnieją tylko ludzie, mówiący w określony sposób. Zaś język to fikcja umysłu, to abstrakcja, bez żadnej rzeczywistości zewnętrznej.

Zasadnicza teza książki prof. Górskiego opiera się na stwierdzeniu, że istnieje duch i wytwory duchowe. Przy rozbudowaniu tego rodzaju teorii nie przyszło Górskiemu na myśl, że przecież duch nie istnieje naprawdę; — nie istnieją również wytwory duchowe. Naprawdę istnieje tylko obiektywna rzeczywistość i ludzie pozostający wobec niej w najrozmaitszych relacjach.

Sądom Górskiego na temat istnienia a właściwie nieistnienia języka warto jeszcze trochę czasu poświęcić. Dlatego mianowicie, że pomieszano tu nieoczekiwanie dwie różne sprawy. Górski nie rozróżnia języka, będącego obiektywnie sprawdzalną rzeczywistością, od języka jako systemu, który istotnie jest nie tyle „fikcją umysłu“ co abstrakcją naukową, racjonalizującą konkretne i rozwichrzone przejawy mownej działalności człowieka. Wykładowca uniwersytecki, podkreślający tylekroć nankowy charakter swej książki, powinien by wiedzieć, że nauka zawsze operuje abstrakcjami pojęciowymi, że buduje teorie wyjaśniające rzeczywistość, ale z abstrakcyjności tych teorii nie wynika jeszcze, żeby przedmiot podlegający racjonalizacji nie istniał i żeby sam był abstrakcją. Że język istnieje obiektywnie, o tym możemy się na szczęście przekonać.

Co krok, niemal na każdej stroniczce poświęconej rozważaniom na temat języka, napotykamy w tej książce na banały lub wręcz fałszywe z powoływaniem się zresztą na rozmaite autorytety, wśród których przeważają poeci i filozofowie. Język zwierząt na przykład: „Zwierzęta wydają głosy jedynie dla wyrażenia uczuć“ — powtarza Górski za Russell'em, mimo, że przyrodniczy po wielokroć obserwował u zwierząt nieraz wcale skomplikowany, choć nie artykułowany system porozumiewania się.

Weźmy na odmianę wiadomości z gramatyki historycznej. Z okazji analizy formy dźwiękowej słowa „liść“, profesor Górski ryzykuje tezę, że nie byłoby powodu do ewolucji dźwiękowej słowa, gdyby nie zmiana znaczenia. I dalej jeszcze wyraźniej: z każdą zmianą zna-

czenia złączona jest zmiana dźwięku. Oczywiście zmiany znaczeniowe istotnie doprowadzają nieraz do przemian fonetycznych, ale wiadomo przecież, że istnieją także inne powody ewolucji dźwiękowej słowa nie związane z semantyką. Notorycznie poza tym wiadomo, że zmiana znaczenia nie zawsze doprowadza do przemian fonetycznych.

Albo np. sprawa elementów żywej mowy.

Według Górskiego składają się na nią trzy „pierwiastki“: „1. język w ciśniejszym znaczeniu tego słowa, a więc zespół artykułowanych dźwięków odpowiadających pewnym znaczeniom; 2. modulacja głosu oddająca przeżycia towarzyszące mowie; 3) najrozmaitsze gesty towarzyszące słowom“. I dalej następująca interpretacja: „Modulacja głosu i gesty należą zatem do pozajęzykowych środków wyrazu, odgrywających ogromną rolę w mowie żywej, nie istniejących natomiast w pisanym tekście, który jest utrwaleniem wyłącznie środków językowych“.

Ileż w tym milczenia się z wynikami współczesnej lingwistyki! Weźmy od razu modulację głosu. Jej elementy to przecie akcent oraz intonacja. Jedno i drugie nie tylko nie należy do pozajęzykowych środków wyrazu, ale nawet wykracza poza warstwę wyłącznie foniczną, gdyż są to fonologiczne czynniki języka, czynniki różnicujące znaczenie.

Czy „modulacja głosu“ nie istnieje w tekście pisanym? Ależ gdyby jej tam nie było, nie można by nigdy odpowiednio tekstu odczytać! Skądżeś mielibyśmy o niej wiadomości? W istocie modulacja głosu, niezależnie od specjalnych znaków pisarskich, i znanych wszystkim zasad akcentowania oraz intonacji, obowiązujących w języku, wyrażona jest strukturą składniową zdania i jego zawartością treściową. Nadać wypowiedzi właściwą intonację, to znaczy tekst wprost dobrze zrozumieć. Żeby do tego dojść musimy dokonać nieraz bardzo subtelnej analizy sensu danego urywka, jak to (pamiętam) bardzo przekonująco robił kiedyś Wóycicki.

Jeszcze jedna ryzykowna teza jest w przytoczonym wyżej sformułowaniu Górskiego. Tam mianowicie, że tekst pisany jest utrwaleniem wyłącznie środków językowych. Nawet to jest także nieprawda. Weźmy bowiem następujący tekst:

— Wiesz, — niedługo będę miał mnóstwo pieniędzy.

— ?

— To spadek z Ameryki“.

Urywek ten nie jest niewątpliwie tekstem, który wyraża taką — dajmy na to — sytuację:

któs zwraca się do obecnego tuż obok kółki z powiadomieniem wyżej zacytowanym, przerywając mu jakieś zajęcie. Ten podnosi głowę i spogląda pytającym wzrokiem na interlokutora, czekając dalszych wyjaśnień, których mu ów kolega rzeczywiście udziela. — I niech teraz kto powie, że tekst „jest utrwaleniem wyłącznie środków językowych“! Każdy, choć trochę interesujący się językiem, wie, że elementy żywej mowy, zawierające często pozajęzykowe środki wyrazu, przenikają do języka pisanego i to nie tylko wtedy, gdy chce my utrwalic żywą mowę (zacytowany przykład), ale też przy normalnej wypowiedzi na piśmie. Są nawet całe gatunki literackie, które należy interpretować na płaszczyźnie żywej mowy a nie języka pisanego. To są rzeczy znane i uznane. Po cóż je więc przemilczać?!

A teraz nowa sprawa, której przedstawienie wyraźnie koliduje z maksymą zacytowaną przeze mnie na wstępie: sprawa formalizmu.

Książka Górskiego — jak to wiemy z przedmowy — jest wynikiem protestu przeciwko formalizmowi w badaniach literackich, zwłaszcza rosyjskiemu: „tezy tzw. formalizmu wywodziły we mnie zawsze najgłębszy protest“. — Jakież to konkretnie są tezy? — „Język poetycki to język nastawiony na wyrażenie“ — sprawa „umiejętności słowa“ w poezji — hasło „sztuka jako chwyt“.

Ależ przecie są to tezy i hasła z okresu formalizmu, który nie wiele jeszcze miał wspólne go z nauką, natomiast tkwił silnie w praktyce poetyckiej futuryzmu. Są to początkowe lata pierwszej wojny światowej. A książka Górskiego to rok 1946-ty! Czy to nie jest czasami zbyt daleko idące ułatwienie sobie zadania zarówno w zakresie erudycyjnego opanowania materiału, jak i związanej z tym polemiki?

Sprawa polemiki z formalizmem rosyjskim to zagadnienie odrębne. Rozprawiać się z pewnym kierunkiem naukowym w roku pańskim 1946-ym na podstawie sformułowań zaczerpniętych ze skromnego i niewystarczającego podręcznika, który ujrzał światło dzienne tuż po tamtej wojnie i od razu był przeznaczony na użytek pedagogiczny a nie naukowy — to już doprawdy przekracza wszelkie zwyczajnie obowiązujące w społeczności, do której się autor zalicza, i to jeszcze z następującą kwalifikacją „źródła“: „Dla przedstawienia stanowiska rosyjskich formalistów operam się na Tomaszewskim, jako swego rodzaju „sumie teologicznej“ wyników teoretycznych, które wypracowała rosyjska wiedza o literaturze w pierwszym dziesięcioleciu sowieckiego państwa“.

Jest taka książka (wyszła w r. 1937) p.t. Z zagadnień stylistyki. Autor niewątpliwie ją zna, bo z niej cęsto Lempickiego cytuje. Na końcu tej książki jest jedyny w Polsce artykuł sprawozdawczy, który omawia rozwój rosyjskiej stylistyki formalnej. Nawet tam nie wspomniano nazwiska Tomaszewskiego, które podobają się Górskiemu uznać za reprezentatywne. Są tam natomiast nazwiska Szkolowskiego, Jakubifskiego, Eichenbauma, Żrnuńskiego, Tynjanowa, Jakobsona i Winogradowa. Przytoczono poza tym tytuły kilkunastu rozpraw tego ostatniego (dostępnych wtedy nawet w bibliotekach warszawskich) i omówiono stosunkowo obszernie ich znaczenie dla rosyjskiej wiedzy o literaturze. Górski tymczasem unicestwia Tomaszewskiego żeby skompromitować wszystko.

Tę samą „zręczność polemiczną“ ujawnił Górski w stosunku do „niektórych“ polskich kontynuatorów teorii literatury budnie się rozwijającej w Sowietach. Oczom nie chce się wierzyć, patrząc na walną rozprawę Górskiego z... Włodzimierzem Pietrzakiem! Na jednej tylko stronicy mamy kilka sygnalizujących gromy wykrzykników w nawiasach i pełnych ironii pytańników. I za co? Za to, że młody poeta osmielił się siornułowac swą własną poetykę, którą autorowi podobają się uznać za... teorię literatury! Szkoda, że Pietrzak nie żyje, bo by osobiście wyjaśnił to złośliwe „nieporozumienie“, może by nawet wskazał właściwych winowajców.

Książka Górskiego zawiera sądy, które są po prostu błędne.

Zacznę od sprawy zasadniczej, która w lapidarnym streszczeniu zawarta jest w tytule: „poezja jako wyraz“. Przytoczmy tych parę definicji: „poezja jest sztuką komunikowania najintymniejszych i najsłabszych treści duchowych za pomocą języka“ — „język poetycki jest środkiem wyrazu, wydobywającym z poszczególnych słów niezwykłą siłę oddziaływania na wyobraźnię i uczucia czytelnika“ — „sztuka może być tylko twórczym wyrazem językowym, tzn. odkrywającym nowe środki odtworzenia i przekazywania nowej treści duchowej“. Są to wszystko def nicje, które absolutnie nie docierają do samej rzeczy, o którą chodzi. Nic nam nie mówią, czym z ontologicznego punktu widzenia jest poezja, dają natomiast do interpretacji jej funkcji. I to jest zasadniczy mankament tej książki. Poprawnym nankowo byłoby rozumowanie, które by

Kazimierz Górski

*) Konrad Górski, Poezja jako wyraz. Toruń 1946 r.

określiło wprawdzie ontologiczną naturę ducha i treści duchowych, ustaliło czym jest i jak istnieje język poetycki, a dopiero potem zajęło się interpretowaniem rozmaitych relacji zachodzących między poezją a duchem. Sama interpretacja owych relacji nie jest jeszcze definicją ani ducha ani poezji.

Tworzenie jakiegokolwiek teorii na tego rodzaju podstawach jest po prostu nieporozumieniem i prowadzi w konsekwencji do dowolności interpretujących. Górski ulega niepokojącemu złudzeniu sądząc, że buduje teorię literatury. W gruncie rzeczy formułuje poetykę, troszczy się o to, co może być sztuką a co nie i wcale nie przychylił się do wyjaśnienia literatury. Przypominają się przy tym nawet tacy formalistyczni rosyjscy, którzy tak się podobają Górskiemu, z okresu przednaukowego, w którym chodziło również o poetykę a nie teorię literatury. Podstawowa ich teza brzmiała: język poetycki jest dla niego język, który wyrażenie. To stanowiło, ich zdaniem, metafizyczną istotę poezji. W rzeczywistości teza ta okazała się mało przydatną do analizy poezji, nie ogarniała także obiektywnej w tym zakresie rzeczywistości. Z jednej strony bowiem stało się widoczne, że „nastawienie na wyrażenie” istnieje również w języku potocznym, nie jest więc specyficznością poezji — z drugiej zaś łatwo można wskazać w utworach literackich urywki napisane językiem, któremu owo nastawienie na wyrażenie nie towarzyszy. Z Górskim sprawa przedstawia się tak samo. Językiem poetyckim jest dla niego język, który „odkrywa nowe środki odtworzenia i przekazywania nowej treści duchowej”. Przeciwnie z jednej strony funkcję tę spełnia niejednokrotnie język potoczny, z drugiej zaś mamy w literaturze wystarczająco dużo dowodów na to, że język nie zawsze wytworza tu „nowe środki doskonałego wyrazu” i często się posługuje starymi. Jednym słowem przygniatał kocioł garnekowi. Futuryzującego formalistę zdystansował duchowiony spirytualista. Natomiast sprawa teorii literatury nie posunęła się ani o krok naprzód. Gdyby Górski celowo nie ograniczał zasięgu swojej erudycji do znajomości hasła „Opojazn”, gdyby zechciał przyjąć do wiadomości wszystko to, co od czasów Tomaszewskiego zdziałano w ZSRR po rychnym odrzuceniu tego formalizmu, który jeszcze i teraz wywołuje u Górskiego „zawsze najgłębszy protest”, — wtedy może by nie powstała, a już z pewnością nie ukazałaby się drukiem taka jak ta książka. Nie można by się przy tym natrząsać z „wyników teoretycznych, które wypracowała rosyjska wiedza o literaturze w pierwszym dziesięcioleciu sowieckiego państwa”.

Kontrowersja, jaka powstała między formalizmem a koncepcją Górskiego nie jest jedynym przykładem zwalczania pewnego dogmatyzmu w imię dogmatyzmu własnego. Właściwie niemal wszystkie pomysły Górskiego mają charakter dogmatyczny i nie liczą się z rzeczywistością. Większość wypowiedzianych sądów tylko z pozoru ma charakter opisowy, w istocie zaś domaga się przystosowania na dezyderata, żeby nie popaść w kolizję z rzeczywistością.

— „Poezja zaspakaja postulaty uczucia i fantazji, którym życie nie odpowiada” oraz „daje wyzwolenie od nagromadzonych afektów”. — Każdy nieuprzedzony potrafi wskazać wiele dzieł sztuki słowa, które są sprzeczne z tą nabytą definicją. Uratować tego rodzaju orzeczenia może tylko przedargowanie ich w tym sensie, że oto zdaniem autora poezja powinna te funkcje spełniać. Tylko, że wtedy niech się autor pożegna z nauką, niech zaniecha teorii literatury. Niech od razu się przyzna, że chce być prawodawcą dla poetów wyznających jego system wartości; niech po prostu założy szkołę poetycką. Może znajdzie wyznawców. Zaczną wtedy powstawać „historie miłosne o szczęśliwym zakończeniu napisane przez ludzi, którzy nadaremnie tęsknili do wydzica się w miłości”, wszystkich będzie obowiązywać „konieczność szczęśliwego zakończenia (happy end) w dziełach, które mogą trafić do wyobraźni i serca”, świat dozna ulgi, gdyż w poezji będzie można osiągnąć „oswobodzenie duszy z dręczących afektów”, starogrecka „katarsis” zapanuje wszechwładnie — jednym słowem uroczą wizją przyszłego szczęścia. Okazuje się, że można być prorokiem uprawiając równocześnie teorię literatury. Ścisłej przy tak dogmatycznym nastawieniu, jakże przebiła z tej książki, trzeba nim być.

Jedynym wyjątkiem z tego wszystkiego jest oczywiście wyzycie się dogmatyzmu i stanąć na gruncie doświadczenia. Nikomu na nic się nie zda żadna tego typu taka czy inna teoria poezji. Dawniejsza literatura nie jest podatna na przykrwanie do wymyślonej teorii poetyki, zaś literatura współczesna do niej się zastosować nie zechce. Trzeba po prostu ograniczyć się do empirycznej wiedzy i próbować wyjaśnić literaturę taką, jaka jest. Okazuje się wtedy, że obok tzw. języka poetyckiego czy lirycznego, spotykamy w literaturze zgodnie z nim sąsiadujące wszelkie odmiany języków praktycznych, dawnych i teraźniejszych — do języka pojęciowego włącznie. Spotykamy tu wszelkie formy wypowiedzi kształtujące się na gruncie mowy ustnej i mowy pisanej, a literackość czy poetyckość będziemy upatry-

wać z jednej strony w celowości ich zastosowania, z drugiej w przekonującej artystycznie kompozycji, z trzeciej w ich specyficznej funkcji społecznej, jaką rzeczywistość literatury spełnia. W rozpatrywaniu tego ostatniego wypływa problem, jaki sens posiada literatura, dowiemy się wtedy jakim kategoriom poznawczym odpowiadają kategorie językowe — kompozycyjne, w jaki sposób ujawniają się w utworze uwarunkowane historycznie relacje człowieka wobec rzeczywistości, jakie wreszcie jest znaczenie społeczne faktów literackich. Wszystko to w oparciu na empirycznej wiedzy o języku literatury, który jest taki, jaki jest. Zaś jaki jest rzeczywistość — o tym będzie wiedział najlepiej językoznawca, wbrew niechęci, jaką do empirycznej wiedzy

żywić będzie spirytualista. I dlatego oczywiście jest rzeczą, że każdy, co chce się dzisiaj naukowo zajmować literaturą, a zwłaszcza jej teorią, musi bezwarunkowo znać dorobek współczesnego językoznawstwa i stylistyki. Szacowne nazwiska Wiktora Henry i Brugmanna, stanowiące pozycję w ostatniej ćwierci ubiegłego wieku, nie są dziś autorytetami i ze zdumieniem przychodzi stwierdzić, że Górski je z powagą cytuje. Szkoda, że autor z większą ostrożnością do tych spraw się nie ustosunkował, względnie nie dał swego tekstu do korekty specjalistcie. Górski prawdopodobnie nie orientuje się, lub też nie liczy się z tym, że lingwistyka rozwija się dzisiaj z jednej strony pod znakiem strukturalizmu, z drugiej — socjologizmu. Jest gruntownym niepo-

rozumieniem wywoływać dziś duchy Crocego i Vosslera, czy powoływać się na opinie młodogramatyków. Na naszym terenie skończył z tym nawet często w tej książce cytowany Kempicki: „trzeba zrozumieć, że rzekomy idealizm tej szkoły (Vosslera) nie jest w gruncie rzeczy innym jak psychologizmem”. Czas by nareszcie o „ekspresji indywidualnej” i „życiu psychicznym” mówić w sposób odpowiedzialny, a więc w kategoriach psychologii, nie teorii literatury. Metodą Górskiego nie wzbogacimy naszej wiedzy o życiu psychicznym jednostki, natomiast pograżamy zupełnie teorię literatury w dowokrościa i fałszach, jakimi niestety przepelniona jest jego książka.

Kazimierz Budzyt.

PRZEGLĄD PRASY

Wybitny teoretyk marksistowski, Roger Garaudy, nazwał Francuską Partię Komunistyczną, partią inteligencji francuskiej. Określenie to nie oznacza, rzecz prosta, że KPF składa się wyłącznie z inteligentów, jak wiadomo bowiem milionowa partia liczy we Francji w swoich szeregach tkaczy z Lyonu, górników z Lille, metalowców z paryskiego okręgu, nauczycieli szkół powszechnych i średnich i t.p. Jednocześnie w szeregach partii mamy czołowych przedstawicieli francuskiej elity intelektualnej — pisarzy, jak Aragon i Eluard, malarzy jak Picasso, uczonych, jak zmarły Langevin, jak Politzer, teoretyków jak Garaudy, publicystów jak Hervé. Mógłbym spisać tu jeszcze długą listę nazwisk, z których niestety będzie dórżce znane polskiemu inteligentowi — pracownikowi nauki. Nie o to mi jednak chodzi. Chciałbym wskazać strukturę milionowej partii marksistowskiej na zachodzie, uwidocznic, że Garaudy ma rację, gdy mówi o „partii inteligencji francuskiej”. Ma rację dlatego, że poziom intelektualny członków KPF jest bardzo wysoki, nie zależnie od wykonywanego przez nich zawodu — robotnika czy inteligenta. Ten wysoki poziom, o jakim świadczy wydawnictwa partyjne we Francji — od pism codziennych do teoretycznych miesięczników — wynika z należytého pojętego zdania, iż „marksizm jest instrumentem działania”. Znaczący to tyle, że członkowie partii — robotnicy czy inteligenci — są świadomi konieczności nieustannego podwyższania stopnia swoich kwalifikacji, zarówno w zakresie bezpośrednio wykonywanego zawodu jak i w dziedzinie teorii marksizmu.

Ten przydługi nieco wstęp wyjaśni być może czytelnikowi, dlaczego uważam ukazanie się „Nowych Drog”, teoretycznego organu Polskiej Partii Robotniczej za wydarzenie doniosłe dla sprawy postępu w Polsce.

Polska Partia Robotnicza jest partią awangardową postępu w Polsce. Jej członkami, podobnie jak i we Francji, są zarówno robotnicy, jak i inteligenci. Warunki jednak historyczne w jakich działał ruch marksistowski przed wojną w naszym kraju nie sprzyjały metodycznemu rozdurowianiu teoretycznej wiedzy. Młode pokolenie, czy to związane z partią czy sympatyzujące z nią i bliższe marksizmowi nie mogło wskutek sześciolietniej okupacji zdobyć odpowiedniego zasobu wiedzy. Nowa „polska droga do socjalizmu” stworzyła mnóstwo problemów, które nie zawsze mogą być rozstrzygnięte na podstawie choćby i dawnej zdobytej wiedzy.

Pojawienie się pierwszego zeszytu „Nowych Drog” sygnalizowało już poprzednio, omawiając go bardzo szczegółowo w jednym z poprzednich numerów „Kuźnicy”, omawiając to cenne wydawnictwo wyrażam niemiłnie życzenie recenzenta, by obok interesujących i potrzebnych aktualizacji, udzielo-

no również miejsca pracom o bardzo teoretycznym charakterze. W numerze drugim pracą taką jest obszernie studium Pawła Hoffmana o Stanisławie Brzozowskim. Ta demaskatorska rozprawa o czołowym teoretyku polskiej myśli społeczno-historycznej, ujawnia walkę ideologiczną, jaką toczył Brzozowski przeciwko marksizmowi, przedstawia nam jej społeczno-historyczne tło i oświetla prekursorską rolę, jaką odegrały filozoficzne koncepcje Brzozowskiego w kształtowaniu się pomajowej rzeczywistości naszego kraju. Przypadkowo miałem możność zapoznać się z obszerną pracą Georga Lukacsa o Nietschem. Praca Hoffmana, oparta na przesłankach dialektycznych, uwidocznia, podobnie jak praca Lukacsa, podwójną rolę, jaką spełnił Brzozowski wobec inteligencji polskiej, podobnie jak wcześniej Nietsche — wobec niemieckiej. Rola ta polegała na radykalnym rzekomo geście i na reakcyjnej w danym momencie dziejowym treści jego filozofii.

Wśród prac, mających za zadanie pogłębienie zagadnień aktualnych znajdujemy w drugim numerze pisma referat Jakuba Bermana: „Zagadnienie pracy partyjnej wśród inteligencji”, gdzie autor kładzie szczególny nacisk na znaczenie pogłębienia teoretycznej wiedzy: „Partia nasza liczy w swych szeregach 9 proc. towarzyszy-inteligentów... Wiemy o tem, że niejedyn z Was spotykał się z objawami niechęci i obcości wobec inteligencji. Objawy te, może historycznie umotywowane są szkodliwie. Pogardliwy stosunek do inteligencji jest sprzeczny z linią naszej partii, jest szkodliwy i tego rodzaju postawę będziemy zwalczali... Nie sądzimy bynajmniej, aby inteligencja stanowiła sól ziemi, czy też mogła pretendować do roli jakiejś elity rządzącej. Obec są nam tego rodzaju pojęcia. Inteligencję bowiem uważamy za organiczną część mas ludowych”. W dalszym ciągu autor przeprowadza dokładną analizę sytuacji w jakiej formowała się inteligencja w Polsce, wskazując na specyficzność tego rozwoju w odróżnieniu od Zachodu. Stwierdza, że inteligencja uległa w pewnym okresie ideologicznemu kryzysowi, gdyż „idąc w swej podstawowej masie w zaprzęgu ziemianko-burżuazyjnym wchodził w kolizję z ludem, z masami pracującymi, z tęsknotami i marzeniami mas robotniczych i chłopskich”. Wskazuje autor na odbicie się tej sytuacji historycznej w twórczości filozoficznej Stanisława Brzozowskiego i artystycznej Stefana Żeromskiego. Skolei przechodzi autor do omówienia roli i znaczenia inteligencji w Polsce ludowej. „Naszej inteligencji nowa rzeczywistość nie tylko otworzyła olbrzymie perspektywy, nie tylko dała niewyczerpane możliwości twórczej pracy, lecz, co jest niemniej ważne, przywróciła jej świadomość

współczesnictwa w jednym nurcie z ludem”.

Analizując warstwę inteligentką w Polsce dzisiejszej, Berman wysuwa pod jej adresem następujące postulaty: „Chcemy, by (inteligencja — przyp. mój) miała postawę reformatorską, twórczą, zdobywcą... O tę właśnie zdobywcą, twórczą postawę inteligencji walczą nasza partia. Chcemy tą wiarą natchnąć elementy inteligencji twórczej. Nie jest przypadkiem, że coraz więcej pisarzy i artystów wstępuje w szeregi naszej partii, lub skupia się dokoła bratniej PPS.”

Zadania i cele, jakie stoją po wyborach przed blokiem demokratycznym w ogóle, a PPR w szczególności, omawia Roman Zambrowski w otwierającym numer artykule „Na nowym etapie”. Jednocześnie artykuł ten zawiera niezmiernie interesującą ocenę politycznej rzeczywistości polskiej i oświetla rolę opozycji peeselskiej.

Zagadnieniem polityki polskiej od roku 1945 wobec Niemiec i Rosji zajmuje się Stefan Jedrychowski w pracy „Reakcyjna teoria dwóch wrogów”. Artykuł udowadnia fantazyjność rachub niektórych ugrupowań politycznych polskich na emigracji co do wzajemnego „wykrwawienia się” Niemiec i Rosji i wykazuje jasno ich reakcyjne cele.

Wśród prac tłumaczonych znajdujemy tu Sergiusza Rubinsztajna: „Drogi i osiągnięcia psychologii sowieckiej”. Obszerna ta praca obrazuje mało znane u nas powiązanie metodologiczne z marksizmem i podstawowe tezy sowieckiej psychologii.

Marcel Prenant w artykule „Materializm dialektyczny — narzędzie poznania”, daje ostrą odprawę rewizjonistom marksizmu, którzy żeglują ku spirytualizmowi, i twierdzi, że dotychczasowy rozwój myśli ludzkiej potwierdza słuszność „metody naukowej, prowadzonej przez Marksa i Engelsa z całego uprzedniego dorobku ludzkości i zastosowanej do człowieka oraz do otaczającego go świata”. Prenant w interesujący sposób zestawia w poszczególnych krótkich rozdziałach tezy i osiągnięcia poszczególnych działów wiedzy ludzkiej, z których wynika, że „dialektyka materialistyczna to metoda do stosowana całkowicie do obiektywnej dialektyki przyrody i społeczeństwa”.

Wreszcie w dziale „Życie kulturalne w Polsce” mamy „Kronikę kulturalną” Stefana Żółkiewskiego „O nowy los społeczny dzieła sztuki”, Leona Kruczkowskiego.

Żółkiewski w swojej kolejnej kronice wysuwa, nie poraz pierwszy wreszcie, postulat jaknajspieszniejszego wydania polskich klasyków. Jest to jednakże tylko część artykułu. Jego zasadniczym tematem jest konieczność zreorganizowania naszych studiów polonistycznych. A więc — zarówno walka z poezją naukową wulgaryzacją i dywagacją, jak i z przetastami formalizmu. Żółkiewski docenia znaczenie formalizmu, który „przyniósł przewycięzenie jednostronności problematyki psychologicznej w literaturoznawstwie. Z drugiej jednak strony autor zarzuca formalizmowi rozpatrywanie dzieła literackiego, oderwanego od jego historycznego, oparcia się o idealistyczną teorię poznania, brak „kontekstu sytuacji społecznej”. Żółkiewski, który uprzednio stwierdził, iż w planowaniu wydawnictw klasyków polskich istnieje zasadnicza trudność, a mianowicie całkowity brak orientacji specjalistów, którzy nie wiedzą właściwie, które z tych dzieł mogą być dziś dla nas istotne, które z nich należy wydać „by ożywić tradycję wołnościową i demokratyczną, tradycję humanistyczną i postawą naszej literatury”, domaga się koniecznej reformy studiów.

Wreszcie Leon Kruczkowski w swoim artykule, którego tytuł podałem powyżej, stanawia się nad rozwiązaniem kryzysu, jaki istnieje w odbiorze dzieł sztuki. Autor wyjaśnia ten kryzys długotrwałym związkiem, jaki istniał pomiędzy sztuką i warstwą panującą, ściślej — między artystą i warstwą panującą. Krytykuje anatomie sztuki, klerkizm, estetyzm, psychologizm, wskazując, iż te zjawiska wynikły w procesie oderwania się artysty od mas ludowych. Jednocześnie jednak nie zaprzecza, że pomiędzy tymi zjawiskami było wiele takich, które posunęły naprzód technikę literacką, unowocześniły warsztat pisarza, są „tym samym społecznym wartościowcem”.

Wielką szkoda, że tocząca się od wielu tygodni francuska dyskusja o literaturze, jej prawach i obowiązkach wobec społeczeństwa, dochodzi do nas jedynie w formie sprawozdań prasowych. Wszelkie znaki na ziemi i niebie wskazują na to, iż nasi pisarze radziby przedyskutować te sprawy oszczędnie. Myślę, że dyskusja dla nas jest bodaj czy nie ważniejsza niż dla nich.

p. h.

K O R E S P O N D E N C J A

O PODPIS POD FOTOGRAFIA

Pasłęk, 25.2.1947

Szanowny Panie Redaktorze! Pozwólcie sobie zwrócić uwagę na małe przeoczenie, popełnione przez autora podpisu pod fotografią grupy studentów wileńskich, zamieszczonej w Nr 7 „Kuźnicy” w tekście artykułu Ryszarda Matuszewskiego o „Rzeczywistości” Putramenta. Komentarz wyjaśnia, że Putrament trzyma trzy nierozpoznawalne na zdjęciu kukielki, wśród których, wierzymy na słowo, jest również podobizna Henryka Dembińskiego, natomiast nie zauważa stojącego na prawo obok Putramenta nieodżałowanego, Henryka Dembińskiego, sądząc, że wymienieni w tekście trzej przyjaciele jego, nie czuli by się dotknięci jeśli by współczesna młodzież polska

mogła choć z fotografii poznać twarz tego natchnionego trybuna i cudownego człowieka, jakim był niezapomniany Henryk Dembiński.

Na zakończenie mała prośba: zamieście jego fotografię w Waszym piśmie i niech ktoś, kto go znał i dobrze rozumiał skreślił wizerunek duchowy tego szlachetnego Człowieka (proszę mi wybaczyć odrobinę megalomanii), serdecznego przyjaciela z lat studenckich.

Edward Binkiewicz
Pasłęk, Woj. Olsztyńskie

Oświadczamy, że podpis pod fotografią zamieszczonej przy artykule R. Matuszewskiego, dotyczący jej treści pochodzi od właściciela zdjęcia J. Wyszomirskiego.

Redakcja

SPÓŁDZIELNIA „KSIĄŻKA” WYDAWNICZA

CENNE WZNOWIENIA LITERATURY ŚWIATOWEJ

Sinclair Upton — Nafta, tom I-szy i II-gi, zł 660. —

— Król węgiel, str. 462, zł 500. —

„K S I A Ź K A”

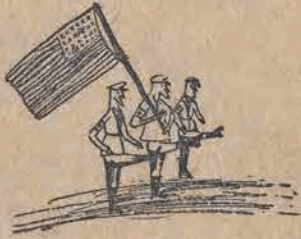
Żądać we wszystkich księgarniach

Niemcy amerykańscy

Książeczka nosi długi tytuł: „A Commentary of The Influence of Americans on German Ancestry on the Domestic and Foreign Affairs of These United States”. Co znaczy: „Komentarz o wpływie Amerykan pochodzenia niemieckiego na wewnętrzną i zewnętrzną politykę Stanów Zjednoczonych”.

Komentarz jest obszerny i ciekawy. Nie ma w nim co prawda mowy o szpiegowskich akcjach organizowanych w Stanach Zjednoczonych podczas wojny przez „Amerykan pochodzenia niemieckiego” na rzecz kraju swych przodków, nie ma mowy o udziale tychże Amerykan pochodzenia niemieckiego w linzowaniu co ciemniejszych skór żołnierzy, którzy wywalczali narodom wolność, ale przecież warto posłuchać kilku cytatów:

„Amerykanie niemieckiego pochodzenia miłując spokój przeciwstawiali się wzmieszeniu się Stanów Zjednoczonych do wojny, czego natrętnie żądali rozmaici interwencjonisci. Tak samo przeciwstawiali się przeprowadzonej przez międzynarodówkę i rozmaite kliki polityczne... kampanii oszczerstw skierowanej przeciwko Trzeciej Rzeszy. Przecież, kiedy internacjonalisci osiągnęli w końcu swoją wojnę Amerykanie niemieckiego pochodzenia spełnili swój obowiązek chcąc ograniczyć ruinę ojczyzny swoich przodków.



Któż śmie dziś stwierdzić, że sprawy toczą się teraz w USA i w innych krajach świata lepiej niż przed wojną?

„Wiemy dobrze, czego chcą ci, których celem jest zniszczenie narodu niemieckiego. Wyrwie się Rzeszy niemieckiej potowę jej terytoriów, by skoncentrować 70 milionów ludzi. Dorzuci się 4 miliony Niemców, którzy żyją w innych krajach i którzy pozbawieni swoich domostw tracą resztki swego mienia. To jest bez precedensu w historii. Ci uciekinierzy, chrześcijanie niemieccy, przybędą do Niemiec, gdzie nie ma ani mieszkań ani żywności ani opał. Niemcy staną się strasznym kotłem śmierci, gdzie zginą kobiety, dzieci i starcy. Młodzi zatrzymani i zaciągnięci za granicę do krajów naszych aliantów, które kochają przecież wolność i sprawiedliwość, staną się wygładzanymi stopniowo niewolnikami. Jest niestychana rzeczka, by kraje cywilizowane mogły znieść te okrucieństwa nie reagując na nie wcale — lecz taka jest rzeczywistość... Jaki umysł może pojąć taką niemiłość, zemstę tak barbarzyńską, sadyzm tak nieludzki... Jeśli Niemcy Ameryki są jeszcze ludźmi, jeśli posiadają charakter i chcą zmienić przyszłość swoich własnych rodzin niech działają szybko! Jest już późno, bardzo późno... Dajcie znać o istnieniu naszej organizacji legislatorom i członkom kongresu, którzy z entuzjazmem zaakceptują naszą pomoc w walce przeciw internacjonalizmowi Nowego Ładu (New Deal). Pomóżcie, Amerykanie pochodzenia niemieckiego, we wzięciu aktywnego udziału w życiu politycznym naszego kraju.

Fakty i nazwiska

Omawiając sprawę rozwoju przemysłu w Niemczech, londyński „Daily Worker” przeprowadza porównanie między strefą radziecką a strefami zachodnimi w Niemczech. Dziennik podkreśla, że podczas gdy w strefie radzieckiej osiągnięto już 70 proc. poziomu przemysłowego, określonego w ramach planu Sojuszniczej Komisji Kontrolnej z marca r. ub. w strefach anglo-amerykańskich uzyskano zaledwie 3 proc. tego poziomu.



To szybkie tempo ustabilizowania życia gospodarczego w strefie radzieckiej — pisze „Daily Worker” — tłumaczy się likwidacją karteli i trustów oraz udziałem robotników w kontroli i kierownictwie przemysłu. Również gruntowna denazifikacja daje gwarancje przeciwko jakimkolwiek sabotazom.

Przechodząc do sytuacji w strefach zachodnich, dziennik pisze: „Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, które bezustannie dągały się rewizji ustalonego poziomu produkcyjnego nie potrafiły osiągnąć godnych wzmiarek wyników. Faktem jest, że produkcja w tych strefach nie stanowi więcej, niż ponad 3 proc. przyjętego w marcu 46 r. poziomu Kapitał agnosciski czyni wszelkie wysiłki, celem doprowadzenia do całkowitej zależności od siebie przemysłu niemieckiego i umieszczenia niemieckich kartelów pod własnymi wpływami, zamiast ich zniszczenia.

Dowodem tego jest nieprzeprowadzenie zniszczenia wielkich niemieckich zakładów zbro-

jeniowych i przemysłu chemicznego. Polityka ta węż się ściśle z posunięciami, zmierzającymi do włączenia zachodnich Niemiec do systemu tak zwanej „Zjednoczonej Europy”.

Dziennik podaje również dane o całym szeregu hitlerowców, którzy dotychczas zajmują wpływowe stanowiska w zachodnich strefach. Oto nazwiska i funkcje z nich: Dinkelbach — b. dyrektor niemieckiego koncernu stalowego, mający olbrzymie wpływy w czasach hitlerowskich, otrzymał ostatnio czołowe stanowisko w kontroli przemysłu stalowego w strefie brytyjskiej. Mueller, który zajmował wysokie stanowisko w przemyśle wojennym Górnego Śląska, jest obecnie czołową postacią w przemyśle stalowym. Koepgen i Goesch, również dobrze znani za czasów nazistowskich, są dzisiaj członkami rady nadzorczej reńsko-westfalskich zakładów energetycznych. Ponsgen pracuje nadal na wybitnym stanowisku w przemyśle metalurgicznym i przewidziany jest na doradcę Dinkelbacha. Goetz, b. prezes Banku Dresdeńskiego i niemiecko-poł-amerykańskiego banku, odgrywa czołową rolę w przemyśle energetycznym. Buecher, szef hitlerowskiej Rady do spraw zbrojeniowych i AEG, pracuje nadal w Hamburgu w tej samej firmie.

W konkluzji dziennik zaznacza, że nazwiska te, powiązane z szeregiem wyższych oficerów i SS-manów, stanowią najlepszy dowód, jak potężny front stworzono przeciwko wszelkim wysiłkom, zmierzającym do oczyszczenia Niemiec z hitleryzmu.

„Ziemiaństwo i antysemityzm”

W liście do redakcji „Tyg. Powsz.” p.t. „Ziemiaństwo i antysemityzm”, Aleksander Bocheński na marginesie noty „Kuznicy” poświęconej jednemu z ustępów książki prof. Hirszfelda, gorliwie staje w obronie postawy ziemiaństwa, prof. Hirszfelda, a nawet w obronie kultury chrześcijańskiej, widząc właśnie w tej nocie, kto a zamieściło nasze „skądinąd interesujące pismo” wyraz „ślepego balwochwaltwa wobec marksizmu”.

Dziwne to nieporozumienie. Znając Aleksandra Bocheńskiego jako wytrwałego publicystę, autor niniejszej a także i zaatakowanej notki gotów byłby przyjąć na siebie więcej za nie dość jasne sformułowanie noty p.t. „Szlachetność i naiwność”, wszystkie bowiem przytoczone przez Bocheńskiego warianty interpretacji jej sensu są przysłowową kulą w plot, lecz przecież sens ten jest tak oczywisty!

Chcielibyśmy zwrócić uwagę p. Bocheńskiego, że nota nosi tytuł „Szlachetność i naiwność”. A zatem jest i szlachetność. Czyja? Oczywiście w tym wypadku ziemiaństwa, którego nie zamierzał nikt atakować. Oczywiście i prof. Hirszfelda, że umiał być wdzięczny za okazaną pomoc. Natomiast co do naiwności, to nie tylko dziwny się, że autor listu do „Tyg. Powsz.” jej nie widzi, ale podkreślić mu sinya z całą stanowczością, że użycie tego słowa jest w tym wypadku zaledwie eufemizmem. Pyta nas p. Bocheński co jest naiwne? Czujemy się niemal zażenowani, musząc tłumaczyć że nie sympatia prof. Hirszfelda do kultury chrześcijańskiej i nie przekonania o jej uszlachetniających wartościach. Niech p. Bocheński przeczyta dobrze, co napisał prof. Hirszfeld:

„Ludzie ci nie byli zdolni do nienawiści. Mieli nastawienie życiowe w stosunku do wszystkich. I sądzę, że w pewnej chwili przebaczyli by nieprzyjaciółom w imię nakazów Chrystusa. A jednak ci ludzie do gruntu dobry i sprawiedliwi nienawidzili Żydów i im przypisywali wszystko złe, (podkr. nasze). Byli przekonani, że Żydzi są odwiecznymi wrogami kościoła. Nawet protestantyzm był ich zdaniem skutkiem knoawia żydowskich”.

Niejednokrotnie pisząc o książce prof. Hirszfelda podkreślano, że autorowi nie brak talentu wiernego i plastycznego odmalowywania ludzi i zdarzeń. Zapytujemy: jak brzmi w ujęciu p. Bocheńskiego interpretacja przytoczonego wyżej urywka? Kim byli szlachetni państwo G., mieszkający „w jasnym, promiennym domu”, przechowywujący prof. Hirszfelda, ale nienawidzący Żydów i twierdzący, że nawet protestantyzm itd. itd.? Dla nas odpowiedź jest jasna, niezależna od wartościowania: byli typowymi przedstawicielami swojej klasy. Byli takimi, jakimi ukształtowało ich kilkaset lat zamieszkiwania w „jasnym, promiennym domu” z widokiem na park i wierzby nad stawem. Byli też takimi, jakimi uczyniło ich od-

działanie tysiąca lat chrześcijańskiej kultury. Niestety, jak widzimy z trącin przytoczonego przykładu prof. Hirszfelda, oddziaływanie to nie zawsze było głębokie. Byli „do gruntu dobzy”, ale „nienawidzili”. Choć „nie byli do tego zdolni”. „Wznosili się w ekstazie modlitwy”, ale to co mówili o „knowaniach żydowskich” nie różniło się od poglądów gawiedzi przypatrującej się martyrologii ghetta spod karuzeli na Pl. Krasieńskich. Nie czynimy im z tego powodu zarzutów. Czynniami, praktyką ży ciową okazali osobście kulturę chrześcijańską, niewspółmierną niejednokrotnie z zachowaniem się gawiedzi. Myślami — rażący jej brak. Jako duchowi przewodnicy narodu egzaminu nie zdali. Bardzo to charakterystyczne dla kraju, w którym obok szlachetnych intencji, — nawet „w jasnym promiennym domu” królowało — póki istniał on — kółtństwo. Idealizowanie kółtństwa, stawianie między nim, a tym co było istotnie szlachetne znaku równości — oto naiwność wytknięta przez nas prof. Hirszfeldowi.

Cały wywód p. Bocheńskiego zwalczający tezę, że ziemiaństwo było antysemitytami, jest uderzeniem w próżnię. Byli nimi, ale w stopniu nie większym, niż to wynikało ze skomplikowanych przyczyn natury społecznej, w których podłoża i — oczywiście — racje gospodarcze: racje, których szczegółowa analiza, wbrew temu, co upraszczając, stwierdza Bocheński, wyraźnie wskazuje na to, że nie było przyczyn do szcze gólnego nasilenia antysemityzmu w warstwie

ziemiańskiej, która walki konkurencyjnej z ży dostwem nie prowadziła, a przynajmniej nie w tym stopniu, co drobniemieszczactwo. Dla marksistów, nawet takich, których łatwiej i płytko p. Bocheński gromi, — są to rzeczy elementarne.

Antysemityzm ziemiań wyglądał zaś właśnie tak, jak go opisał Hirszfeld, co nie uprawnia bynajmniej do jego idealizacji. P. Bocheńskiemu, jako katolikowi, znana jest zapewne ewangeliczna przypowieść o talentach. Należy je mnożyć wedle tego, ile się ich dostało. Inne wymagania stawiamy ludziom z dworskich czworaków, a inne tym, którzy mieszkali „w jasnym promiennym domu” i których uszlachetniał wpływ chrześcijańskiej kultury i codziennych praktyk religijnych. To, że przechowali prof. Hirszfelda, niezbyt ładnie zresztą zachowywającego się w stosunku do tych, spośród których pochodził, oraz wielu innych, — jest ich niewątpliwą zasługą. Żadne jednak zasługi moralne nie uprawniają do ciasnoty poglądów, przeczącej zresztą ideałom wyżej przytoczonym. Albo jest się niezdolnym do nienawiści w myśl zasad chrześcijańskich, albo się nienawidzi. Albo posługujemy się rozumem, albo przesądem i ciemnotą. A nazwanie pochwalania ciemnoty i przesądu — naiwnością jest doprawdy określeniem najłagodniejszym z możliwych. Czy jest to rzeczywiście tak bardzo pozabawione logiki, jak pan w swoim liście pisze? I kto teraz wygląda żałośnie?

Równanie

Niejaki L. K., komentując na łamach „Tygodnika Powszechnego” zamieszczoną ostatnio w „Kuznicy” polemikę A. Schaffa z artykułem J. Strzeleckiego o humanizmie socjalistycznym, cytując Schaffa: „Moralność oraz jej normy są podporządkowane interesom tej klasy, która dane normy tworzy” i pisze dalej sam: „dla p. Schaffa — dobrym moralnie jest to, co przynosi korzyść...”.

Jaka szkoda, że inteligentny L. K. nie napisał wyraźnie, że to, co „przynosi korzyść p. Schaffowi” byłoby to przynajmniej zupełnie dokładnie, oznaczałoby jasną interpretację

marksizmu, tak, jak go widzi inteligentny L.K., i jakież perspektywy: Humanizm = socjalizm, socjalizm = marksizm, marksizm = „Kuznica”, „Kuznica” = Schaff — to prawda, ale prawda także, że L. K. = katolik, a są katolicy, którzy jeżdżą na rowerze, wobec tego jasne, że L. K. jest cyklistą. Bo jak wiadomo, złotówka to pieniądz, pieniądz to forsa, forsa to grunt, grunt to ziemia, ziemia to matka, matka to anioł, anioł to stróż, stróż to dozorca, innymi słowy dozorca i złotówka to to samo. I pomyśleć, że wszystko to i „proces normy-berski”, i „odwieczna norma moralności” na odwrocie tej samej strony, na której Aleksander Bocheński ubolewa nad wulgaryzacją



marksizmu i nad tym, że stanowi on „gotową dźwignię do łatwych konstrukcji”. Czy tylko właśnie u swych zwolenników?

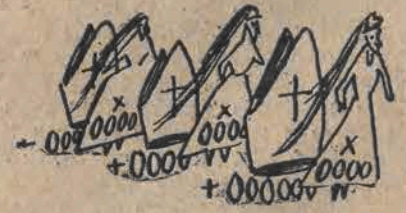
Lumpenburżuazja

W artykule „Lumpenburżuazja”, zamieszczonym w ostatnim numerze „Kuznicy”, p. Aleksander Szpakowicz pisze: Wyras „Lumpenburżuazja” został użyty po raz pierwszy w 1946 roku. Nie pamiętam, „kto jest autorem tego określenia”.

Wobec tego, jak Irzykowski, który zawsze mówił: „Ja pierwszy”, zgłaszam swoje autorstwo. W artykule „O społecznym awansie” w „Kuznicy” z maja 1946 r. pisałem: „Jeden tylko ruch, uchwytny cyfrowo, nazwać można od bieda awansem społecznym. Było to zakładanie straganów po miasteczkach przez bogatych chłopów. Był to awans do drobniemieszczactwa, albo raczej do „lumpenmieszczactwa”. Tworzył grupę społeczną całkowicie zależną od koniunktury, i to bardziej politycznej niż gospodarczej”. Bardzo się cieszę z kariery, jaką zrobił mój termin.

Operacje finansowe

„Równie zawzięty i wyniosły Górnka, obczernością majątku, bogactw, wziętością u szlachty wszystkich innych przechodził... Wsparty bogactwami i usługami u Kazimierza wzięty, najprzód generalistwo Wielkopolskie, potem województwo poznańskie odziedziczył. Po śmierci żony, z którą spłodził dwóch synów, ubiór żołnierza, przemieniwszy na syna kapłana, otrzymał biskupstwo poznańskie; na nim niezmiernie już bogactwa bardziej jeszcze powiększył. Synowie i Wnuki, temże idąc przykładem, to jest



żeniąc się bogato, a po zgonie żon biorąc biskupstwa, do tak niezmiernych wynieśli się majątków, iż lubo w Polsce wiele mieliśmy rodów, co koszy swemi całe wojska wystawić mogły, żaden z nich jednak zamożności Górków nie zrównał”. Według Pauli Piaseciii Chronica gestarum in Europa Singuliarum pag. 56, 57 — podał J. Niemcewicz na str. 12 — 14 „Dziejów panowania Zygmunta III” tom I, Warszawa 1819.

JAK ZAPRENUMEROWAĆ

»Kuznicę«

Kuznicę zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym wpłacając należność na konto czekowe P.K.O. Nr VII - 567 z oznaczeniem „prenumerata Kuznicy” oraz podać dokładny adres własny.

PRENUMERATA

łącznie z przesyłką wynosi: miesięcznie 60 zł, kwartalnie 180 zł

Redaguje: Zespół „Kuznicy”. Wydawca: Zespół „Kuznicy”,
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓLKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENY OGŁOSZEŃ:
Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 szpalce.
D-01 2801 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, świrk 2.